MŁODY NURT



NR·10

ROK·II

Pismo Młodzieży Szkolnej

PIERWSZY OBYWATEL POLSKI W DNIU IMIENIN



Dzień 1 lutego każdego roku jest jednym z tych dni, w których Polska cała oddaje hołd swemu Najdostojniejszemu Obywatelowi. W trzynastym obecnie roku sprawowania najwyższej władzy w Państwie, przedtem na usługach wiedzy i działań niepodległościowych zostający Obywatel, zjednał sobie miłość i bezgraniczne przywiązanie całego narodu.

Z chlubą i poczuciem najwyższej godności na barkach swoich dźwiga trud rządzenia nawą państwową. Najbliższy współpracownik Marszałka Józefa Piłsudskiego po dziś dzień godnie reprezentuje idee polskiej polityki mocarstwowej, stoi na straży Jej niezależnego bytu.

Rozumiemy to, my—młodzi.

W Nim, Prezydencie Polski czcimy wyznawcę tych dalekosiężnych idei, zapładniających całe pokolenia do twardej, żmudnej i ciężkiej pracy dla Polski. Dzień Jego Imienin nie jest nam dniem obojętnym. Wiernie stojąc przy Jego osobie w chwilach radosnych i ciężkich, nie chcemy nic uronić ze słów, z którymi przed trzema laty zwrócił się do nas Min. W. R. i O. P. prof. W. Świętosławski:

„My wszyscy w miarę swych sił i możności winniśmy jak najbardziej dopomagać Panu Prezydentowi w Jego trudnej i odpowiedzialnej pracy. Chodzi przy tym nie tylko o staranne spełnianie swych codziennych obowiązków, ale o pełnienie ich z myślą o dobru Rzeczypospolitej, jako o prawie najwyższym. Jednoczyć się w tym będziemy z Panem Prezydentem wszyscy, począwszy od młodzieży szkolnej poprzez pracujących na wszystkich polach i wszelkich stanowiskach.

1 II 1939

Niech więc duma i radośc zapanuje w was w tej chwili na myśl, że na czele naszego Państwa stoi człowiek o wielkim sercu i obdarzony niepospolitym umysłem. Umiłował On nade wszystko i w sercu swym wypieścił myśl o Niepodległej Polsce wówczas jeszcze, gdy ziemia nasza, rozerwana na części uginała się i krwawiła pod przemocą zaborców; ukochał też pracę twórczą i jako wybitny badacz, uczony i wynalazca imię Polski rozsławił".

Przywiązanie swe i miłość dla Niego manifestujemy dziś właśnie, w dniu szczególnie dla nas radosnym i uroczystym.

Zdjęcie na okładce: Latarnia morska na Helu.

MŁODY NURT

PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Ministerstwo Wyzn. Religijnych i Ośw. Publicznego pismem z dn. 21 października 1938 roku Nr. II Pr. 16859/38 dało zezwolenie na abonowanie dla bibliotek uczniowskich „MŁODEGO NURTU", dwutygodnika młodzieży szkolnej.

DWUTYGODNIK

Nr 10 (13) Rok II

1 lutego 1939 roku





W. Kossak: Zaślubiny Polski z Morzem 10 lutego 1920 roku

MIECZYSŁAW GOŁĘBIOWSKI, (Warszawa)

Młodzież w obliczu zadań społecznych

Jeżeli Koleżanki i Koledzy chcielibyście na temat poniższego artykułu rzucić pewne uwagi lub zająć inne stanowisko, prosimy o wypowiedzi.

Redakcja

Atmosfera dzisiejszych czasów, pełna gorączki i niepokoju, przepojona groźbą wybuchu konfliktów międzynarodowych, aż nazbyt wyraźnie wskazuje na to, że młode pokolenie, które za kilka lat zasili szeregi starszego społeczeństwa, nie będzie miało łatwego żywota. Fala przemian, jaka ogarnęła cały świat odbija się również silnym echem w murach szkolnych, zmuszając młodzież do głębszych rozmyślań i szukania odpowiedzi na szereg rodzących się zagadnień. Tradycyjny system odgrodzenia ucznia od życia bieżącego i jego potrzeb, a natomiast skupienie całej uwagi na jednostronnym kształceniu intelektu, należy już do niepowrotnej przeszłości.

W jakim kierunku wobec tego mają pójść nasze wysiłki, aby zdobyć umiejętność walki z przyszłymi trudnościami? Czy wystarczy ograniczyć się do zdobywania formalnej wiedzy, potrzebnej do osiągnięcia takiego czy innego tytułu naukowego lub zawodowego? Takie pytania stawiamy sobie, patrząc w nieznaną i groźną przyszłość. Staje się bowiem coraz bardziej jasną rzeczą, że pod wpływem historycznych przeobrażeń w świecie oraz specjalnych warunków, w jakich rozwija się państwo, zadania i obowiązki młodego pokolenia uległy znacznemu poszerzeniu. Obok obowiązku nauki wyłania się przed nami olbrzymie pole pracy na zaniedbanych terenach społecznych.

Zagadnienie pracy społecznej w Polsce często jest albo niedoceniane, albo zgoła fałszywie rozumiane. Dlatego też sprawa ta wymaga bliższego omówienia i uzasadnienia.

Pod wpływem gwałtownego rozwoju techniki w 18-tym wieku, centralnym punktem zainteresowań człowieka była chęć produkowania jak największej ilości dóbr materialnych. Przesadna skłonność do uznania ideału produktywizmu na najdoskonalszy wzór życia stała się przyczyną zapomnienia o człowieku jako odrębnej wartości, jako podmiocie wszelkich zmian i działań w świecie. Zapomniano także o tym, że człowiek jest istotą społeczną, że między ludźmi istnieją stosunki wzajemnej współzależności, a rozwój zaś przemysłu i techniki coraz bardziej tę współzależność pogłębia i komplikuje. Z czasem doprowadzono do tego, że kiedy maszyny działały coraz sprawniej i produkowały coraz większe ilości towarów, w stosunkach między ludźmi zaczęły się ujawniać coraz częstsze i gwałtowniejsze zgrzyty, które niosły ze sobą niebezpieczeństwo nieobliczalnych następstw. Postulat organizowanego świadomego życia społecznego na wszystkich jego stopniach i przejawach dziś stał się koniecznością. Obecnie jesteśmy świadkami gwałtownej reakcji przeciw temu systemowi, który w uwielbieniu niczym nieskrępowanej swobody i egoizmu jednostki pogwałcił i podeptał społeczne wartości duszy ludzkiej. W miejsce dawnych zatomizowanych i targanych sprzecznościami wewnętrznymi zbiorowości ludzkich, wypalają się w ogniu walki i pracy nowe zorganizowane wspólnoty społeczne. Motywem pracy jednostki przestaje być własny egoistyczny interes, lecz staje się nim celowe działanie dla dobra wspólnoty, pojętej jako służba społeczna (naród, państwo). W naszych oczach wyrastają z zawrotną szybkością potężne siły, oparte o zorganizowaną i zdyscyplinowaną energię mas ludzkich, zmierzających do osiągnięcia wspólnych celów.

Nie będziemy się wdawali w ocenę i krytykę tego, co robią dziś Włochy Faszystowskie, Niemcy Hitlerowskie. Wystarczy zanotować obiektywnie fakt powstawania nowych procesów społecznych, które, operując nieznanymi dotychczas elementami ideowymi i organizacyjnymi, z pewnością wywrą ogromny wpływ na kształtowanie się historii świata.

Z tych ogólnych rozważań przejdźmy na nasz rodzimy grunt polski. Rzecz jasna, że nie możemy być biernymi świadkami tych przemian, jakie zachodzą w całym świecie. Mamy ambicję być jednym z podmiotów historii, dlatego też nie może nam być obojętne wszystko to, co przyczynia się do wzmocnienia siły wewnętrznej i prężności zewnętrznej naszego państwa. Idąc po linii współczesnych przemian stwierdzamy, że istnieje paląca potrzeba rozpowszechnienia w Polsce nowego typu człowieka, będącego wyrazem potrzeb społeczeństwa nowożytnego. W poszukiwaniu źródeł sił i potęgi dojdziemy do zgodnego przekonania, że jesteśmy w posiadaniu olbrzymich możliwości, tkwiących w postaci energii potencjalnej zaniedbanych dotychczas terenach społecznych. Rozbudzić i przemienić w motory twórczej pracy, te niewyczerpane złoża energii ludzkiej — oto

zadanie, którego wypełnienia domaga się Polska od młodego pokolenia. Biorąc pod uwagę powyższy moment, nikt w szkole nie może być wolny od odpowiedzialności społecznej. Zdobywanie wiedzy teoretycznej stanowi tylko jeden z podstawowych elementów pracy przygotowawczej do przyszłej służby społecznej. Obok tego istnieje obowiązek wypraktykowania tych umiejętności, które są niezbędne w podejmowaniu i kierowaniu procesami zbiorowymi. Wszystkie talenty i zdolności ucznia winny być tak wykorzystane, aby w przyszłości mogły bez reszty służyć narodowi i państwu. Życie szkoły tak bogate i urozmaicone przedstawia poważne pole dla prac realizacyjnych. Przysposobienie wojskowe, Harcerstwo, Straż Przednia, samorząd koleżeński, spółdzielnie uczniowskie, koła pracy społecznej itp. są w pomniejszeniu obrazem przyszłej działalności społeczno - państwowej. Bardzo często do tych instytucji życia szkolnego odnosimy się albo z obojętnością, albo z lekceważeniem. Jest to założenie z gruntu fałszywe, wynikające bądź to z zamiłowania do wygodnictwa życiowego i braku chęci do jakiegokolwiek wysiłku dla wspólnego dobra, bądź też z braku uświadomienia sobie ważności pracy nad przekształceniem rozproszonych sił społecznych w dynamiczną wspólnotę państwową. A przecież zachodzi ścisły związek między szkolnym P.W. a organizacją zbrojną narodu, jaką jest nasza armia. Udział w P.W. nie może być tylko przykrym przymusem, lecz wypływać musi ze szczerego przekonania, że do tak ważnej roli żołnierza i obrońcy kraju należy przygotowywać się od najmłodszego wieku i ćwiczyć w sobie cnoty rycerskie, które zadecydują w przyszłości o zwycięstwie. Samorząd koleżeński jest znów ogniwem i etapem przygotowawczym do czynnego udziału w życiu całego szeregu instytucyj samorządowych starszego społeczeństwa, które jak wiemy, spełniają olbrzymią rolę, przejmując na siebie wielką ilość zadań państwa oraz wychowują społeczeństwo w duchu samozaradności zbiorowej. Kto nauczył się dobrze załatwiać i kierować sprawami porządkowymi i koleżeńskimi własnej klasy, ten z pewnością nie zawiedzie na czołowym stanowisku właściwych placówek samorządowych. Praca w sklepikach spółdzielczych dostarcza nam praktycznych wiadomości z zakresu tej tak niesłychanie ważnej gałęzi naszej gospodarki narodowej, z drugiej zaś strony budzi w nas zrozumienie znaczenia gromadnego wysiłku i wartości inicjatywy społecznej. Te wszystkie elementy stanowić będą niezbędne składniki ideowe i organizacyjne w pracy nad uzdrowieniem i unowocześnieniem tak bardzo zaniedbanego życia gospodarczego naszego kraju. Mimo tak rozległych i tak ważnych terenów pracy społecznej w Polsce odczuwamy wielki brak przodowników, organizatorów i kierowników placówek gospodarczych, kulturalnych i samorządowych. Natomiast mamy nadmiar niedołęgów, którzy lata szkolne spędzili albo w bogobojnym próżnowaniu, albo głusi na wszelkie sprawy życia otaczającego, studiowali tylko podręczniki szkolne. Sprawa zaś organizowania życia zbiorowego nie jest bynajmniej łatwą, wymaga często długich lat systematycznej pracy przygotowawczej. Wiadomości teoretyczne nie uzupełnione doświadczeniem przypominają żywo magazyn zapchany rupieciami, do którego nikt nie zagląda. Wszelka improwizacja powoduje zwykle poważne szkody.

W innych krajach do służby społeczno obywatelskiej przyzwyczaja się młodzież bardzo wcześnie. Najtęższi ludzie wysilają tam swoje mózgi nad udoskonaleniem mechanizmu życia zbiorowego.

U nas taką szkołą odsłaniającą nowe pola działań, wychowującą równocześnie dzielnych obywateli pracowników może być tylko celowo pomyślana i konsekwentnie realizowana praca społeczna. Tylko przez nią może nastąpić zespolenie różnych warstw narodu w jedną zorganizowaną wspólnotę oraz dokona się wyrównanie różnic kulturalnych i gospodarczych między nieliczną warstwą inteligencji a masami ludowymi. Wypełnienie tego zadania przez współczesne pokolenie młodych zadecyduje o tym, czy jest ono godne stać się spadkobiercą spuścizny pokolenia niepodległościowców, które Polskę ofiarą krwi wywalczyło.





SAPERZY W WALCE

Jeden z najpilniejszych środków zaoszczędzenia krwi i ofiar, składanych na wojnie przez żołnierza, jest praca sapera; gdy jest ofiarna i celowa.

Józef Piłsudski.

Jesteśmy na razie biernymi świadkami wielkich przygotowań, którym na imię — zbrojenia, nieomal wszystkich narodów, w odwiecznej rozgrywce o lepsze jutro dla dalszych pokoleń.

Społeczeństwa, które nie nastawią się na hasło — „Każdy obywatel żołnierzem, każdy żołnierz — obywatelem", społeczeństwa, które nie poniosą największych ofiar już w czasie pokoju do wystawienia — „Zbrojnego ramienia", zdolnego przeciwstawić się i gnieść zachłanność wroga — mogą stać się rychło białymi niewolnikami.

To też spada na nas obowiązek bodaj ogólnej znajomości niezmiernie skomplikowanego organizmu, jakim jest nowoczesne wojsko. Minęły już bezpowrotnie czasy brawurowych, a błyskotliwych szarż w poszumie skrzydeł husarskich, lub mas piechoty, przy biciu werbli, które to wysiłki na jednym polu, obejmowanym wzrokiem wodza—decydowały o zwycięskiej bitwie, a nieraz i kampanii.

Dzisiejsza bitwa, to wspólny i harmonijny wysiłek krwi żołnierza różnych rodzajów broni i służb, połączonych z egzaminem sprawności wielkiej masy sprzętu, maszyn, pocisków, materiałów, sprawności transportów, wydajności fabryk i intelektu uczonych, techników — wszystko wykonujące jedną myśl, jedną wolę Wodza.

Spróbujmy ocenić jaką rolę na przyszłym polu bitwy odegra, mało naogół znana nam broń, — s a p e r z y.

W działaniach wojsk walczących na polach bitew można rozróżnić ogólnie trzy formy walki:

— ruch naprzód (natarcie, pościg),
— bitwa na miejscu (obrona),
— manewr odwrotowy (opóźnianie, odwrót).

— R u c h n a p r z ó d. Im większa ilość ciężkiego sprzętu (artyleria, czołgi, samochody itp.), występuje na polu bitwy, tym trudniejsze jest posuwanie się tych środków w terenie nawet wówczas, kiedy nieprzyjaciel jest o wiele słabszy. Każda rzeczka, każda grobla, wiadukt czy most na drodze ruchu zniszczone, zatrzymają te najcięższe i decydujące środki walki, odbierając tym samym przewagę silniejszemu... na czas niezbędny do odbudowy.

A jeśli wyobrazimy sobie poważniejsze przeszkody wodne jak np.: Dniepr, czy Odra, to nawet niewielkie, a dobrze umieszczone siły, po zniszczeniu przepraw (mostów), potrafią zagrodzić drogę znacznej ilości wojska wraz z jego kosztownym nowoczesnym sprzętem (czołgi).

Już z tak pobieżnie tylko przytoczonych przykładów wynika, że zgrupowania wojsk nowoczesnych, aby mogły poruszać się (manewrować) w terenie — wbrew wszelkim szykanom i niszczeniom, których nieomieszka przeciwnik zastosować — muszą mieć saperów zdolnych przełamać wszelkie trudności, najczęściej pod ogniem nieprzyjaciela, czy też w oparach skażeń chemicznych, a co najważniejsze przeprawić szybko rzuty czołowe, zorganizować, odbudować i zapewnić ruch dla całości wojsk.

Łatwiej jest trzymać w garści uchwyt karabinu maszynowego, albo w impecie szarży — łamać go, niż z wiosłem lub dźwignią motoru w dłoni — odmierzać uderzenia wówczas, kiedy inni wtuleni w matkę - ziemię — mają jakie takie zasłony. A im prędzej saper wykona postawione mu zadanie, tym więcej oszczędzi krwi kolegi, najczęściej piechura, walczącego nieraz z przewagą wroga na drugim brzegu przeszkody.

Aby zapewnić ruch wojsk naprzód, trzeba wiedzieć, jakie przeszkody na jego drodze leżą. Ponieważ trzeba meldować jaki sprzęt i siły saperskie dosłać do czoła, więc trzeba mieć saperów w najbardziej wysuniętych rzutach kawalerii, piechoty czy broni pancernej. Patrole saperskie idą jak duchy opiekuńcze, a muszą szybko i wszystko wiedzieć A szybkość... to motor.

Dzisiejsza bitwa zaczepna i powodzenie pociąga za sobą konieczność wzmożonego zaopatrywania masy wojsk w pociski, żywność, wszelkie materiały, ewakuacji rannych itp. Bez sprawnego ruchu transportów kolejowych bitwa nie może być pomyślnie toczoną. Linie zaś kolejowe nieprzyjaciel zawsze będzie oddawał w takim stanie zniszczenia, że tylko saperzy kolejowi będą je mogli na czas — nadludzkim nieraz wysiłkiem — odbudować i oddać do użytku.

Reasumując, nie miniemy się z prawdą, jeśli stwierdzimy, że na przyszłym polu bitwy ruch nowoczesnych wojsk naprzód nie będzie możliwy bez ofiarnej, pełnej poświęcenia bojowej pracy saperów. Tylko wysoki poziom moralny i techniczny tej broni może zapewnić na czas użycie w bitwie całości wojsk i sprzętu, jakim dysponuje dzisiejszy dowódca.

Już w roku 1410 Jagiełło idąc na Krzyżaków zdołał na czas stanąć pod Grunwaldem, dzięki temu, że jego ówcześni prasaperzy zdołali zbudować wspaniałą na owe czasy przeprawę przez most łyżwowy pod Czerwińskiem.

Batory, zwany przez współczesnych „inżynierem na tronie", przed wyprawą na Inflanty osobiście kierował w Kownie przygotowaniem kolumny mostu pontowego, złożonego z pontonów szer. 7 — 8 stóp, dług. 16 — 18 stóp, który użyto później do przeprawy wojsk przez Dźwinę.

— B i t w a n a m i e j s c u. Ta forma walki, zwłaszcza w jej przygotowaniu, wymaga wielkiego wysiłku organizacyjnego dowódcy i podwładnego sapera. Znaczne wyposażenie w czołgi wojsk walczących wpłynęło na to, że niemal głównym zadaniem sapera w obronie bę-

-dzie uodpornienie przygotowanego pola bitwy przeciwko natarciu broni pancernych. Walkę z bronią pancerną prowadzi saper swoim pociskiem — miną przeciw - pancerną, już na dalekim przedpolu — na samej pozycji obronnej, a w toku walki i w jej głębi.

Poza tym cały szereg zniszczeń i zapór przeciwpancernych wykonują saperzy, aby współdziałając z ogniem broni przeciwpancernych oszczędzić krwi żołnierza piechoty czy artylerii przed wdarciem się czołgów.

W warunkach, kiedy istnieje dość dużo czasu do organizowania obrony — saperzy wykonują cały szereg budowli jak: schrony, punkty obserwacyjne wyższych dowództw itp., których nie potrafiłyby wykonać inne bronie.

I jak w ruchu naprzód, tak i w obronie saperzy czuwają, aby komunikacje — żyły, po których krążyć będzie krew — pociski, żywność itp., słowem zaopatrzenie — było stale czynne, pomimo że niejednokrotnie lotnicy nieprzyjaciela będą usiłowali je zbombardować.

Poza tym, aby wzmocnić obronę, saperzy zasilają na ważniejszych odcinkach prądem wysokiego napięcia z własnych elektrowni polowych — przeszkody drutowe przeciwko piechocie nieprzyjaciela.

Długotrwałe walki pozycyjne doprowadzają do wojny podziemnej, którą prowadzi saper w najcięższych warunkach, jakie sobie tylko można wyobrazić.

Jak wielkie jest zapotrzebowanie na saperów w czasie wojny niech świadczą cyfry. W wojsku niemieckim w wojnie światowej ogółem brało udział na różnych frontach 425 kompanii saperskich, 176 plutonów reflektorów — razem 170.000 saperów.

— Manewr odwrotowy. Poza forsowaniem rzek w obliczu nieprzyjaciela może najcięższe, najbardziej odpowiedzialne zadania spadają w tej formie walki na saperów.

Kiedy zachodzi konieczność oderwania się wojsk od nieprzyjaciela i tylko słabe siły przeciwstawiają się przewadze wroga, saper swoją sztuką i poświęceniem musi niejednokrotnie zastąpić plutony, szwadrony, a nawet całe bataliony. Zniszczenie wszystkiego, co ułatwia ruch nieprzyjacielowi, a nawet jego egzystencja w terenie zdobytym, przede wszystkim zahamowanie rozpędu jego broni pancernej zaporami, to są główne, a jakże nieraz ciężkie zadania.

Rozproszeni w małych, a ruchliwych zespołach, muszą saperzy wykonywać swoją niszczycielską, jednak b. celową robotę bojową. Im więcej i im prędzej zdołają dokonać zniszczeń i zapór, tym powolniejszy będzie pochód nieprzyjaciela, tym więcej będzie czasu na zgromadzenie potrzebnych sił i środków do wymierzenia ciosu.

Dzisiaj, kiedy będziemy mieli do czynienia z dużymi zgrupowaniami broni pancernej i motorowej i to od pierwszej chwili wojny — dobrze byłoby, aby w robocie niszczycielskiej saperskiej byli zaprawieni nie tylko saperzy. Mieszkańcy osiedli, na które ruszą masy pancerne nieprzyjaciela, a przede wszystkim młodzież, powinni zastąpić lub uzupełnić saperów, aby umiejętnymi, ofiarnie wykonanymi zniszczeniami zadać cios, unieruchamiając maszyny wroga.

W roku 1914, kiedy Rosjanie ruszyli przeważającymi siłami w kierunku na Śląsk, Niemcy potrafili tak zniszczyć komunikację w b. Kongresówce, że ofensywa rosyjska załamała się na zniszczeniach saperskich, pomimo wybitnej przewagi sił.

Na zakończenie nie można pominąć jeszcze trzech momentów użycia saperów w nowoczesnej walce.

Pierwszy — to udział w zwalczaniu lotnictwa nieprzyjacielskiego przy pomocy reflektorów, bez których najlepszy artylerzysta w nocy byłby ślepym.

Drugi — to likwidowanie skutków nalotów nieprzyjacielskich na komunikacje nie tylko frontowe, ale i w głębi kraju.

Wreszcie trzeci — to moment, który niejednokrotnie okrył chwałą sztandary saperskie, rzucił pełnymi garściami srebr-



Transport czołgów przez rzekę

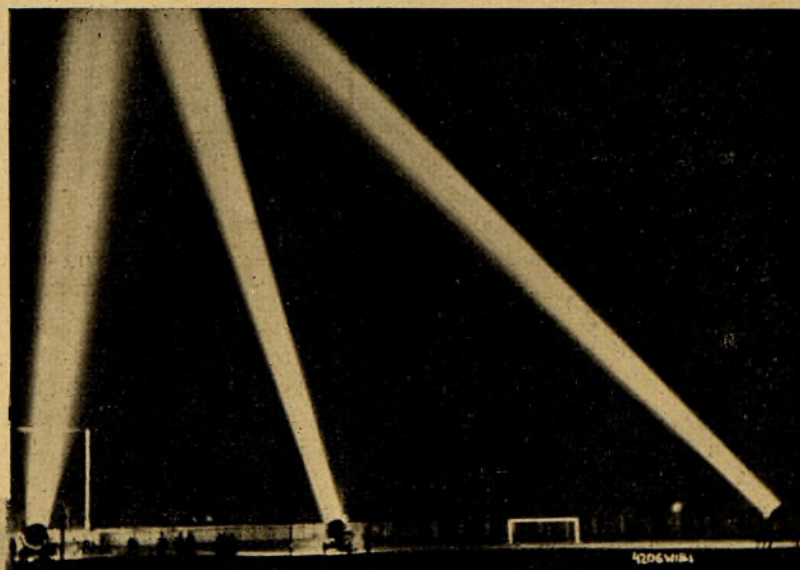
ne i brązowe krzyże na szare mundury saperskie. W najcięższych chwilach boju, kiedy ostatni odwód rzucony do walki topnieje, a szala zwycięstwa przechylać się zdaje na korzyść wroga — saperzy brawurowym uderzeniem rozstrzygają o zwycięstwie.

W ostatniej wojnie w wielu rozkazach wyższych dowódców przyrównywało się saperów do „gwardii", do „niezawodnych"...

Pobieżnie tylko zaznajamiając się z zadaniami saperów — widzimy, że ogromna różnorodność tych zadań, wielkie znaczenie ich wykonania dla dobra całości wojsk, wpływa na szczególną rolę, jaką saperzy spełniać będą w egzaminie dziejowym. Charakterystyczną cechą tej broni jest jeszcze to, że nie da się w żadnym niemal wypadku zastąpić.

T. Z.

Reflektory przeciwlotnicze





Niszczenie mostu kolejowego



Niszczenie mostu drogowego

LEGENDA MORZA

Pod przeźroczystą falą śpią złote bursztyny,
Wczarowane w zastygłą legendę mórz toni,
Na przeźroczystej fali blask słońca się goni
Migotliwym refleksem — jak w oczach dziewczyny,

Co w dal patrzy, w modrawą owitą mgławicę
Czy z pomiędzy pienistych, zielonych odmętów
Nie błysną białe żagle smukłego okrętu,
Który ma w cichym porcie zarzucić kotwicę...

Próżno, dziewczę, spoglądasz w toń morza z tęsknotą —
Pod przezroczystą falą śpią ciche bursztyny,
Na przeźroczystej fali gra słoneczne złoto...

Pod przeźroczystą falą usnął twój jedyny —
Na fantastycznych, dennych wodorostów łożach,
Wczarowany w legendę szumiącego morza...

Janusz Śniециński
Brześć n/Bugiem, Lic. Hum.

DZIAŁ literacki

W związku z rocznicą zaślubin Polski z Morzem, przypadającą na dzień 10 lutego, Pani Zofia Kossak - Szczucka na zaproszenie redakcji przesłała opowiadanie, które poniżej drukujemy.

Redakcja

ZOFIA KOSSAK-SZCZUCKA

WIELKI DZIEŃ



Już w sierpniu było powszechnie wiadomym, że stojąca w Skierniewicach dywizja pójdzie w październiku obejmować Pomorze. Ale nie wiedziano jeszcze, czy w pełnym składzie, czy tylko niektóre pułki. To też o niczym innym nie mówiono zarówno w świetlicy żołnierskiej jak w kasynie oficerskim.

...Obejmować w posiadanie morze...

Dowódca drugiego batalionu, zamiłowany historyk, opowiadał z przejęciem młodszym kolegom dzieje tego skrawka wybrzeża, które do Polski wracało. — Mało go, — narzekał, — nie pożywimy się przy nim. Zatoka Pucka płytka, ladajaka, a gdyńska całkiem do niczego. Morze po kostki, a na brzegu torfowiska...

— Nieszczególny kawałek rzeczywiście, ale grunt, że morze. Każdy brzeg dobry byle na ten wielki gościniec wychodził...

— Po niewczasie przyszło zrozumienie ważności morza. Przez całe wieki mogliśmy posiadać pół Bałtyku, a nie stworzyliśmy ani jednego porządnego portu, ani własnej floty.

— Wiadomo, powiadano przecież powszechnie: starczy dla Polaka tyle morza, żeby koń się okąpał, a nie utonął...

— Tyle nam też łaskawa Koalicja przydzieliła. Żeby koń się okąpał a nie utonął. W myśl zasad naszych praojców.

— Nie wszyscy tak myśleli — bronił major. — To błąd przypuszczać że n i k t w dawnej Polsce nie rozumiał doniosłości dostępu do morza. Dunin Wąsowicz co krzyczał na sejmie z rozpaczą: Kto morza, które wolnością jest, nie rozumie, sam rychło wolność utraci i w niewolniki się obróci! Jan Bąk Lanckoroński, dowódca floty Zygmunta III, zwycięzca spod Oliwy, obaj Arciszewscy, a Jakób Weyher z Bzina i Prusewa, ci wszyscy miłowali morze... Żyli morzem... Brakło im tylko poparcia większości. To większość mawiała: Polak nie wiedzieć może co to morze, gdy pilnie orze... To wiekszość zaprzepaściła flotę, port wojenny pucki, forty Kaźmierzowo i Władysławowo...

— Czy jeszcze z nich co zostało?...

— Wątpię. Obaczymy.

Oby jak najprędzej.

Tak rozmawiano w kasynie. W izbach żołnierskich rozprawiano o tym samym chociaż znacznie mniej uczenie. Tak się złożyło, że w całym pułku nie było ani jednego żołnierza coby morze widział. Tyle, że o nim słyszeli. To też niektórzy, np. Jasiek Pęcak z trzeciego plutonu nie umieli sobie wcale wyobrazić jak morze wygląda.

— U nas za wsią, — mawiał, — jest łacha bardzo wielka po której krypą można się wozić... To sobie miarkuję, że morze będzie jak dziesięć takich łach razem, co?

— Głupiś. U nas jest jezioro większe niż pół powiatu a pan szef mówił, że przy morzu wcale by tego jeziora niebyła znać...

— Pan szef dobrze gada, — przytwierdził strzelec Kuras. — Moja babka powiadała, że pod morzem wcale gruntu nie ma. Ziemia jak kołacz po wierzchu pływa. Przez to, gdzie zaczniesz kopać, na wodę trafisz. A skąd by pod ziemią była jeśli nie z morza?

— A rychtyg.

Strzelec Mazur, który szkołę skończył, obruszył się na takie przedstawienie zjawisk świata.

— Byle co gadacie. W morzu woda jest słona a w studni zwyczajna. Ziemia jest okrągła i ludzie pod nami głowami w dół chodzą, ale nie chodzą tylko nam się tak wydaje... Ziemia wcale po morzu nie pływa, tylko morze po ziemi...

Niebardzo to jasno tłumaczył, więc zagadka, co po czym pływa, nie została rozwiązana. Tym bardziej wszyscy nie mogli się doczekać, kiedy nareszcie pojadą zabierać to morze. Już się stało wiadonym, że pójdą trzy p. p. oraz ułani krechowiccy i podolscy. Cieszyła się wiara. Ale kiedyż pójdą, kiedyż?...

Nad Polską zniszczoną, powojenną (był to rok 1919) nad Polską, co więcej liczyła domów spalonych niż całych, rozłocił się piękny październik. Babie lato płynęło nad ziejącymi wilgocią okopami, nad zwojami drutów kolczastych. Wbrew temu co poprzednio mówiono, rozkaz wymarszu na Pomorze nie nadchodził. Niecierpliwili się wszyscy.

— Zima nadejdzie, morze zamarznie nim nad nie pójdziemy, — narzekał plutonowy Pajączkowski.

— Niemcy nie chcą ratyfikować układu... — objaśniał sierżant.

— To juchy! A co to znaczy ratyfikować, panie sierżancie?

— Nie wiecie co znaczy ratyfikować? Starszy strzelec nie wie co znaczy ratyfikować? Baranie głowy! Ratyfikować, to znaczy... no, to znaczy, ratyfikować... A teraz: Biegiem! Padnij!...

Po październiku nadszedł listopad, miesiąc zmarłych, miesiąc wspominania poległych. Tych co dali młode życie żeby żywi mogli się radować niepodległością. Na niezliczonych cmentarzach żołnierskich zapłonęły światła. O zajmowaniu Pomorza nadal było głucho.

Po listopadzie grudzień, mroźny, wyiskrzony, biały. Miękka biel śniegu pokryła wyrwy pozostałe od granatów, przesłoniła czarne zgliszcza domów. Skąpe powojenne świeczki zabłysły na drzewkach. Dzieląc się opłatkiem w tę drugą wilię niepodległości, ludzie obliczali ogrom pracy czekający ich zanim tę Polskę zniszczoną odbudują, zagospodarują, postawią... Żołnierze dostali nowe buty. Ale o morzu i Pomorzu nadal nic nie było słychać.

Nareszcie w styczniu przyszedł tyle czasu oczekiwany rozkaz. Zahuczało w koszarach jak w ulu. Jedni klną, że zostają, drudzy śpiewają z radości, że jadą. Ruch, zamęt, gwar.

— Te, słuchaj, — mówi plutonowy Pajączkowski do strzelca Pęcaka, — generał będzie ślub brał...

— To on kawaler?

— Nie wiem czy kawaler, czy nie, ale się będzie żenił. Tylko że nie z kobietą, a z morzem...

— Reta! Z morzem? I ksiądz ślub da?

— Żebyś wiedział, kozia głowo. W Gdańsku już obrączki kują...

— Reta! Reta! — powtarzał Pęcak całkiem ogłupiały.

Mróz trzymał ostry. Wicher ciął niby nożem kiedy przyszli do Torunia. Piękne stare miasto, a wiele ludzi w grodzie, wszystko wyległo ich przyjmować. Z krzykiem, śpiewem. Przy pomniku Kopernika żołnierze złożyli wieńce. Z Torunia poszli do Grudziądza. Bardzo pośpieszać nie mogli, bo trzeba było ucierać się z Niemcami. Zdemoralizowane oddziały niemieckie, pozbawione dowództwa wałęsały się jeszcze po kraju. Prawdziwą bitwę stoczono z nimi pod Gniewkowem, drugą pod Lipiami. W tej ostatniej zginął plutonowy Pajączkowski. Nie doczekał się widoku morza!

Do Gdańska weszli uroczyście. Z płaczem witała ich ludność polska. — Dr. Wybicki podał generałowi pierścień wykuty w platynie, piękny bardzo. To na zaślubiny z morzem. Ale żołnierze nie spoglądali na nic, czekając widoku morza. Było już pono tuż, tuż, tylko je domy skrywały. I ukazało się oczom ledwie wyjechali z miasta. Wisiało jak ciemna szafirowa chmura, jak płachta równo zwieszająca się od nieba. Zrazu myśleli strzelcy, że to las. Dziwili się że taki równy. A to morze. Laboga, laboga, morze!...

Kopyta koni stukały o zmarzniętą ziemię. Morze podeszło blisko drogi. Już nie wisiało jak chmura lecz rozłożyło się łukiem niby ogromne pole, roztoczyło niekończące się ruchome grędy. Szedł od niego ziąb przenikliwy. Mewy polatywały kracząc. Biała piana kwitła na czubach wodnych zagonów. W pobliżu Gdańska, koło Oliwy, Sopot, kraj był zagospodarowany i zdał się zamożny, tuż jednak za granicą Wolnego Miasta zaczynało się pustkowie. Liche wioseczki rybackie drzemały nad brzegiem posępnej morskiej roztoczy. Gdynia, wieś nieco większa od innych, liczyła około czterystu mieszkańców, lecz nawet swojego kościoła nie posiadała. Rybacy gdyńscy chodzili modlić się do Oksywia. Bezlistne krzaki pokrywały zbocza Kamiennej Góry. Wzdłuż ośnieżonego brzegu zębił się wąski pas lodu.

Dowódca dyw. pomorskiej, płk. Skrzyński mówił do generała, Józefa Hallera:

— Byli tu podobno nasi inżynierowie: Powiadali, że w tej Gdyni możnaby morze pogłębić i port założyć. Wielki, porządny port. Tam daleko, na półwyspie, powinna stanąć latarnia... Tutaj pod wzgórzem powstałoby miasto... Zakasowalibyśmy Gdańsk...

Wątpię, żeby to było możliwe? — westchnął niedowierzająco szef sztabu.

— Przy Boskiej pomocy wszystko jest możliwe, — stwierdził z otuchą generał.

Rozejrzał się wokoło z młodzieńczym zapałem, jakby już widział w miejscu ubogiego pustkowia miasto, port tętniący życiem, dźwigi i statki, a daleko, naprzeciw — latarnię...

W Pucku pomimo mrozu i wichury zebrały się tłumy Kaszubów. Stali wytrwali, uparci nie dbając o zimno. Ci twardzi ludzie których przysłowie było: nigdy do zguby nie przyjdą Kaszuby.— Wiele, wiele lat, wysługiwali się obcym, lecz nadszedł dzień, że mieli zostać gospodarzami u siebie. Rybacy z Helu przyszli prosto z połowu, w skórzniach cuchnących rybą, z sieciami na plecach. Nad morzem na zdeptanym śniegu wybrzeża wniesiono już ołtarz polowy. Ksiądz kapelan Wrycz odprawiał Mszę św. a zebrani i wojsko śpiewali potężnym chórem — Gwiazdo Morza. Fale rzumiały do wtóru. Usiłując przekrzyczeć łoskot ich i wycie wichru, ksiądz mówił kazanie. O chwili, która się dzieje, o stojących niegdyś na tym miejscu Chrobrym, Krzywoustym, Kaźmierzu Jagiellończyku, Batorym... Gdy skończył, generałowi podprowadzono konia. Błękitny mundur hallerowski zlał się z wodą i powietrzem, roztopił w daleość. Opodal, w przystani, stała „polska flota wojenna". Stanowiły ją dwie kanonierki „Komendant Piłsudski" i „Generał Haller", sześć torpedowców i cztery poławiacze min. Niebogato, ale to ledwo zaczątek. Słońce przedarło się ukośnie przez chmury, rzuciło snop żółtych promieni na brzeg i stojące na nim wojsko.

Konie chrapały schodząc ku wodzie. Ułani wjechali w morze. Umaczali sztandar, zanurzyli proporczyki. Spadające z nich krople błyszczały w słońcu świetliście. Fale wzdęły się, biegły niby zaciekawione, chlupotały wokół nóg końskich.

— Patrz, patrz! Teraz! — trącił strzelec Mazur kolegę Jaśka Pęcaka.

Generał pchnął konia wprzód, wjechał z płk. Skrzyńskim dalej, aż woda koniom sięgnęła po brzuchy. Twarz miał przejętą, wzruszoną, rozmodloną. Oczyma wodził po ruchliwych grzędach wodnych, po wielkim szlaku zaniedbanym od wieków, a mającym się stać teraz szlakiem potęgi i bogactwa Rzeczypospolitej. Przeżegnał się, uniósł w strzemionach i rozmachnąwszy szeroko cisnął trzymany w ręku pierścień z platyny i złota. Pierścień błysnął jasną smugą. Zapadł w fale.

Armaty zagrzmiały. Biły salwami raz za razem, zwiastując całemu wybrzeżu, że **Polska objęła morze w posiadanie...**

JANUSZ ŚNIECIŃSKI

Żeglarz

Człowiek — to żeglarz wieczny, w maleńkiej łupinie,
Rzucony na przeznaczeń ocean szumiący; —
Jeśli w dal pociemniałą wypatruje drżący,
Jeśli stracił nadzieję, że brzegów dopłynie.

Gdy spojrzy na toń nieba, gdzie złotem migoce
Gwiazda, co go w dal wiedzie i upaść nie daje,
Znowu duchem wzmocniony do zmagania staje,
Pełen wiary, niepomny na złowrogie noce.

Nie zatopi go fala wściekłością spieniona,
Rumpel dobrze wywiedzie, wzięty w otchłań marną,
Wytężone odeprą sztorm wichrów ramiona. —

Lecz biada — jeśli zgubi swą gwiazdę polarną!...
Wnet go drętwa martwota przytuli do łona,
Wnet go głębie zielone ziębicą ogarną.

NAGRODA MŁODYCH P. A. L.



Polska Akademia Literatury przyznała doroczną nagrodę „Młodych“ Jerzemu Andrzejewskiemu za powieść p. t. ŁAD SERCA.

Zgłoszonych, prócz Andrzejewskiego było jeszcze dziewięciu młodych pisarzy, m. in. Teodor Parnicki, B. Miciński, J. Pietrkiewicz, H. Malewska, J. Rymsza.

Recenzję z powieści ŁAD SERCA zamieściliśmy już w 4 (7) numerze „Młodego Nurtu“ (z d. 1.XI ub. r.), dlatego trudno powtarzać sąd o niej. Silniej może tylko należałoby podkreślić to, co przyniosła zgodna opinia wszystkich niemal krytyków i recenzentów. Oto, że zapoczątkowana próba nowej drogi (w pewnym sensie) w powieści polskiej, przyniosła bogaty dorobek, że dzięki trudowi przezwyciężenia siebie (jako osobowości) czytelnik dostał do rąk książkę niezwyczajną, niecodzienną, nie tę, obok której można przejść milcząco, bez zastanowienia.

Istotnie — Andrzejewskiego śmiało możemy nazwać rekordzistą młodości, który „zademonstrował na swych książkach wszystkie jej niedowłady i przewagi“. Takim wznoszącym się wzwyż chcemy go widzieć zawsze w następnych utworach.

ROLA KRYTYKI LITERACKIEJ

Stanowczo nie zgadzam się ze Stańczykiem, jakoby najwięcej było lekarzy — uważam bowiem, że najwięcej na świecie ludzi zajmuje się krytyką. Nie koniecznie krytyką zawodową; ale w rzucanych czasem mimochodem uwagach o tym czy innym przeczytanym utworze, mieści się reakcja czytelnika — a to jest przecież istota krytyki.

Mówimy o krytyce literackiej, a więc o krytyce utworów poetów i pisarzy. Należałoby się więc zastanowić, co to jest dzieło literackie. Słusznie zauważył Adam Stawarski: „co to jest właściwie dzieło sztuki — to trudno określić, a być może nawet niemożliwe jest ściśle określić. Dzieła, które przez jednych uznawane są za największe arcydzieła, przez innych odsądzane są od wszelkiego artyzmu.

Znane są powszechnie wypadki o nagłym i niespodziewanym odkryciu jakiegoś zapomnianego talentu. W literaturze polskiej najbardziej znamienny jest tu wypadek Słowackiego. Jeszcze Małecki, pisząc swoją o nim monografię, która stała się początkiem jego sławy, usprawiedliwiał się przed publicznością, że poświęcił tyle pracy działalności człowieka, który w życiu swoim zajmował skromne stanowisko pisarza. Z pewnością nie przypuszczał Małecki, że kości tego skromnego pisarza będą w kilkadziesiąt lat później złożone w grobowcach królewskich".

Jak więc widzimy — definicja dzieła sztuki jest trudna — a jeszcze trudniejsza jest sumienna krytyka tego dzieła. Powtarzam: sumienna, bo krytyka literacka na tej zasadzie powinna się opierać ze względu na swe powołanie. A powołaniem tym jest informowanie czytelnika o wartości tych czy innych utworów.

To informowanie musi być przeprowadzone solidnie i — możliwie — obiektywnie. To ostatnie żądanie rzadko kiedy wykracza poza ramy teorii, albowiem prawie każdy krytykuje subiektywnie — oczywiście z zachowaniem wszelkich zasad sprawiedliwości i rzetelności pisarskiej.

W ten sposób krytyka współdziała z czytelnikiem, pomaga mu w wyborze lektury i uczy go jednocześnie czytać.

K. L. Koniński mówi: „Nauczycielem czytania jest krytyk, jeżeli wydobywa z utworu ustępy najlepsze i najsłabsze, jeżeli objaśnia, wyjaśnia, interpretuje miejsca trudne". A dalej: „krytyk sądzi żywych ludzi, jego wyroki podnoszą, lub niweczą żywych ludzi. Dlatego każde słowo krytyka powinno być tak odważone, taką napełnione powagą jego najrzetelniejszej prawdy, jak słowo sprawiedliwego sędziego. Samo nawet milczenie krytyka, który zasługuje na zaufanie co do swej sumienności — bywa osądem. Ale lepiej milczeć, niżli wydać sąd potępiający tam, gdzie się czuje, że się nie można wczuć w pisarza. Ale także lepiej milczeć, niżli chwalić bez przekonania — dla przyjaźni, dla stosunków towarzyskich".

Tu dopiero widać powagę stanowiska krytyka... Poza informowaniem czytelnika, poza walką o ideę, poza dochodzeniem prawdy, co jest także celem sztuki — krytyka literacka ma jeszcze inne, wielkie zadanie; jest nim praca nad kulturą pisarską, a co za tym idzie nad kulturą społeczeństwa i narodu. Krytyk winien wskazywać pisarzom nowe możliwości, zakreślać im nowe horyzonty, stawiać wysokie wymagania; tu bowiem tkwi źródło podniesienia ogólnego dorobku kultury duchowej.

Zadaniem sztuki jest trafienie do duszy czytelnika — powiedział ktoś. Ale do tego pomocą czytelnikowi jest krytyk. On musi wszystkie kierunki literackie doskonale znać, rozumieć i wczuwać się w nie, musi umieć oceniać je według słusznych kryteriów. Ponieważ zaś każda wielka sztuka rodzi się z współdziałania twórców i odbiorców — musimy docenić ogrom zadania, jaki włożono na barki krytyka, który jest przecież pośrednikiem między pierwszymi a drugimi.

Dlatego trzeba, aby krytyk literacki nie był rzemieślnikiem, odrabiającym swe kawałki, ale prawdziwym artystą.

Jerzy Krzeczkowski
(Kielce, lic. hum.)

NOC w ścianie MONT-BLANC

Najwyższy szczyt europejski Mont Blanc (wys. 4810 m.) opada na stronę wschodnią, tj. na terytorium Italii — kolosalną ścianą lodowo-skalną o wysokości blisko 1500 m. Poprzez tę t.zw. wschodnią ścianę Mont Blanc — wielkością ustępującą tylko północnej ścianie Eigeru (zdobytej w r.b.) — prowadzą trzy drogi. Wszystkie one zaliczają się do największych i najtrudniejszych przedsięwzięć w Alpach i są podejmowane tylko przez najlepszych alpinistów. Jedna z nich nosi nazwę „drogi poprzez Sentinelle Rouge" („Czerwony Wartownik"), a to dzięki wysokiemu obeliskowi skalnemu o czerwonawym zabarwieniu, sterczącemu w dolnych partiach ściany. Drogę poprzez Sentinelle Rouge przeszli dn. 24 sierpnia ub. r. trzej alpiniści polscy, członkowie Klubu Wysokogórskiego Polskiego Tow. Tatrzańskiego: Jerzy Golacz ze Strassburga, Zbigniew Korosadowicz z Zakopanego i Wawrzyniec Żuławski z Warszawy. Zamieszczamy opis tego ostatniego.

Redakcja

—„Szaleństwem byłoby iść jutro" — mruczałem sam do siebie walcząc z wiatrem na wąskiej, śnieżnej krawędzi przełęczy Col de la Fourche. Wicher pozasnuwał granie białymi pióropuszami pędzonego w przestrzeń śnieżnego pyłu. Staliśmy właśnie w samym środku takiego pióropusza. Jak gdyby jakiś kataklizm powietrzny zrywał nam śnieg spod stóp i rzucał w twarze. Zimno, które w czasie wejścia na przełęcz gryzło nam ręce w przemokniętych od zetknięcia ze śniegiem rękawicach, teraz spotęgowało się do bólu. O kilkanaście metrów niżej malutkie schronisko, przycupnięte pod skałą, przebłyskiwało przez szarość zadymki, jak bezpieczną przystań.

Trudno mi znaleźć odpowiednie porównania, aby uzmysłowić kontrast pomiędzy piekłem wiatru, a przytulnym spokojem wnętrza schroniska. Wicher oszałamia, sprowadza zamęt myśli, tutaj wraca się powoli do rzeczywistości, otaczającego świata. Uderza cisza i ciepło panujące wewnątrz niezamieszkałego i nigdy nie opalanego schroniska. Krew napływa do twarzy wysiekanej wichrem i odłamkami lodu, usilnie rozcierane palce zaczynają wykonywać coraz to sprawniejsze ruchy. Wiemy, że za godzinę lub dwie będziemy kurczyć się z zimna pod stosem koców, nękani mrozem, który przeciśnie się przez cienkie ścianki; na razie nie myślimy o tym.

W schronisku nie ma nikogo, któż by tu przychodził w takich warunkach! I poco? — Odrąbując przymarznięte do butów raki[1]) i ściągając ze sztywnych ramion swetry, jesteśmy przeświadczeni, że z jutrzejszej wspinaczki — wejścia przez wschodnią ścianę na Mont Blanc — należy stanowczo zrezygnować.

Leniwie siadamy na pryczę z papierosami w zębach. Szumiący prymus promieniował ciepłem i kusił obietnicą gorącej kolacji.

W nocy wiatr nieco osłabł. Mróz był silny, ale za to w dzień będzie pewnie słońce. Niebo jest czyste, czarne i gwiazdy odcinają się na nim ostro. Mgiełki włóczą się nad dolinami, ale nie wróżą niepogody. Idziemy.

Nisko w dole pozostał za nami skrzesany obelik „Czerwonego Wartownika". Wiele godzin trudu oddziela nas od chwili gdy opuściliśmy schronisko. Wiele godzin lawirowania poprzez strome półka lodu i skały na których niemile zgrzytały raki. Teraz wchłonął nas w siebie „grand couloir" — ogromna, tysiącmetrowa depresja przerzynająca wschodnią ścianę Mont Blanc. W żlebie płyną bezustannie lawinki, w których brodzimy po kolana, niby w śnieżnych potokach. Śnieg zsuwa się zresztą wszędzie. Z groźnym sykiem przebiega otaczające nas zerwy. Poprzez skalne progi i lodowe bariery, przesypuje się w świetlistych kaskadach. Wiatr niesie z grani tumany śnieżnego pyłu i ciska nam w twarze. Raki szukają przez warstwy nawianego śniegu oparcia na twardym lodzie. Myśl koncentruje się dokoła jednego: jest teraz południe,—pora, w której najczęściej schodzą wielkie lawiny. Śpieszyć się, ciągle śpieszyć, zanim cały żleb ruszy wraz z nami w dół w szalonym pędzie. Grzęda, do której dążyliśmy, jak do zbawienia, zamiast przybliżać, zdaje się od nas oddalać. Gdy staniemy wreszcie na niej wyda się nam rajem. Wiatr nie mniejszy tu, niż w żlebie, ale przynajmniej od lawin bezpiecznie. Odpoczywamy chwilę, ale ból nienaturalnie powykręcanych na stromiźnie nóg, zmusza nas do dalszego marszu. Zresztą i pora spóźniona.

Nad nami spiętrza się skalista grzęda. Omijamy pierwszy jej uskok z lewej strony, a potem stromym kominkiem wspinamy się w górę, zwalając rękami i czekanem trzeszczące sople lodu.

Wiatr coraz to wzmagał się na sile. Teraz to już prawdziwy huragan. Strome pole firowe prowadzi nas pod wysoki próg skalny. Omijamy go w lewo, rąbiąc stopień za stopniem w twardym lodzie. Ogarnia nas coraz gęstszy mrok, bo słońce już dawno schowało się za jakiś szczyt, a chmury lodowego pyłu przesłaniają nam świat. Do grani musi być już niedaleko. Teraz czeka nas mozolne przerąbywanie się przez dwie, lub trzy setki metrów lodowej stromizny, a potem ostatnia przeszkoda: najwyższa bariera seraków[2]). Podobno zazwyczaj jest ona nietrudna do przejścia. Jeśli uda nam się ją pokonać przed nocą, to dalej możemy już po ciemku wejść na szczyt i zejść do schroniska Vallot, położonego kilkaset metrów poniżej. Jeśli nie...? staramy się oddalić od siebie tę myśl. Biwak w tych warunkach atmosferycznych i w takim terenie groził katastrofą. Mimo dużego wyczerpania sił w czasie całodziennej walki z lodem, skałę i wiatrem zwiększamy tempo.

---

[1]) Raki — stalowe kolce przywiązane do butów ułatwiające poruszanie się po stromym lodzie.

[2]) W ścianach lodowcowych spotyka się często ciągnące się na dłuższej przestrzeni obrywy lodowe, nieraz przewieszone. Formacja taka nazywa się barierą seraków (z franc, serac — lodowa ścianka, lub turnia). Jak każda formacja lodowcowa bariery takie często ulegają przesunięciom i najrozmaitszym zmianom ukształtowania.

Stromizna lodowa kończy się. Jeszcze kilkadziesiąt metrów po skałkach i — stajemy bezradni. Nad nami piętrzyło się dwadzieścia metrów przewieszonego lodu. Bariera była niedostępna.

Próba zejścia dwieście metrów niżej i przedostania się w prawo na wielkie płaskie plateau nad przełęczą Brenva — zawiodła. Zabrakło czasu — pół godziny, lub może trochę więcej. Zapadła noc, ciała nasze zesztywniały z zimna, wyczerpane mięśnie zaczęły odmawiać posłuszeństwa, a wiatr siekł po twarzy odłamkami lodu. Czekał nas — niestety — biwak.

Na pięćdziesięciostopniowej pochyłości wyrąbaliśmy w lodzie niewielką półeczkę. Była ona w istocie mała, gdyż płytko pod lodem natrafiliśmy na skalistę podłoże.

Wiatr był tu jakby trochę mniejszy, ale miejsca tyle, że zaledwie mogliśmy usiąść ciasno obok siebie, podkurczywszy kolana pod brodę. Nogi kolcami raków wparliśmy w lód, aby się nie ześlizgnąć w dół. I to było najgorsze: buty, w których musieliśmy pozostawać całą noc, tamowały normalny obieg krwi w nogach. Już wtedy wiedzieliśmy, że czeka nas odmrożenie stóp.

Lekka płachta biwakowa, którą okrywaliśmy plecy i głowy, nie dawała dostatecznej ochrony przed wichrem i dwudziestostopniowym mrozem. Pozwalała jednak palić papierosy i to było jedynym naszym zajęciem i rozrywką w czasie tej długiej, wlokącej się godzinami nocy. Palenie, tak samo jak i rozmowa miała stworzyć pozory, że się ruszamy, bronimy przed mrozem i, że nie jest nam tak zimno jak się wydaje. Od czasu do czasu rozpaczliwe kłapanie zębami i febryczne dreszcze, któregoś z nas demaskowały tę niewinną komedię.

Anemiczne słońce poranka nie przyniosło nam spodziewanego ciepła. Zdrętwiali — wygrzebujemy się spod płachty biwakowej, dociągamy rzemienie raków sztywnych, pozbawionych czucia nogach. Źle się schodzi po stromym skrzepłym na lód firnie. A schodzić tak mamy jeszcze dobre sto metrów, zanim otworzy się przed nami możliwość trawersu na widziane poprzedniego dnia plateau. Za to tam — na plateau — ściskamy sobie dłonie, bo strefa niebezpieczeństwa jest już poza nami. Jeszcze dwie godziny czerpania z ostatnich rezerw utrudzonego serca, mięśni i wierzchołek Mont Blanc wita nas uderzeniem wiatru. Jeszcze jedna godzina schodzenia na chwiejących się nogach i docieramy do schroniska Vallot. Otępiałym wzrokiem, z przykrym skurczem serca, przyglądamy się, jak nasz zacny przyjaciel, alpinista francuski — Daniel Souverain — rozciera nam śniegiem zmartwiałe stopy.

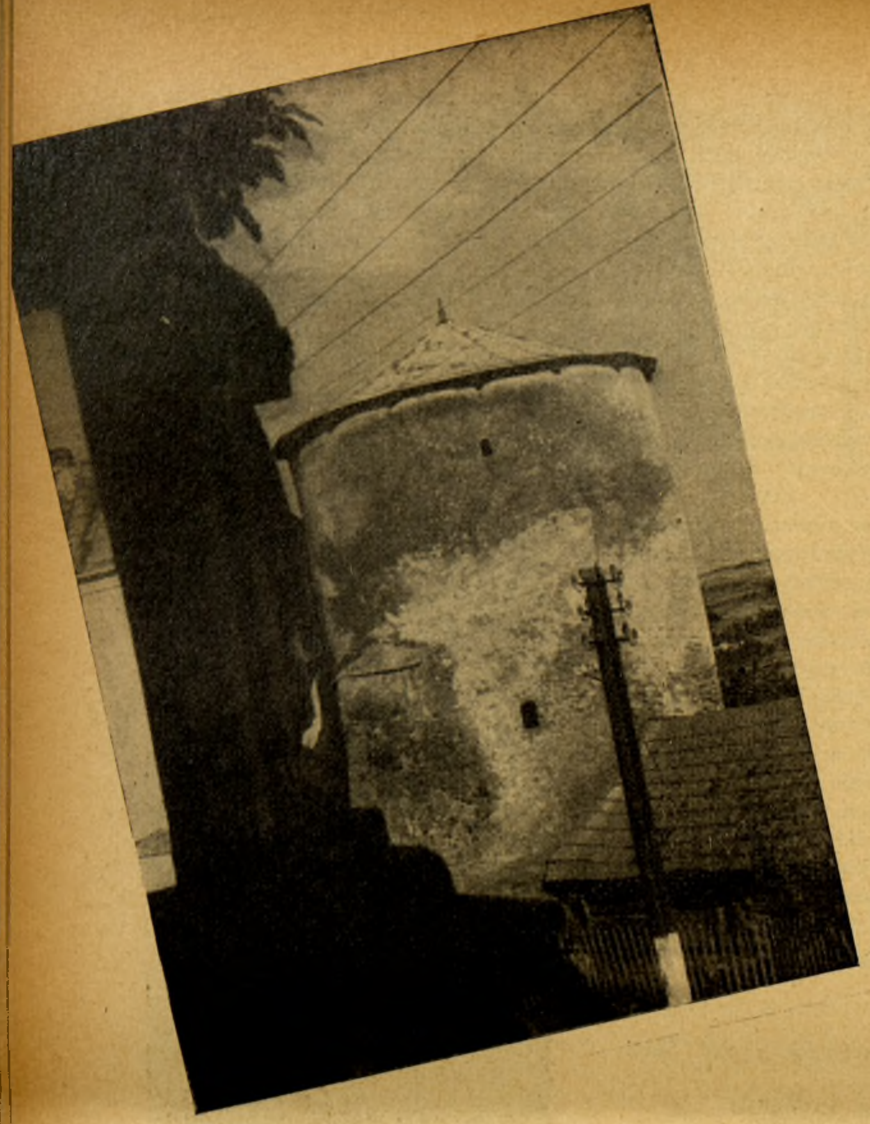
Słońce, mróz, wicher, huragany śnieżnego pyłu, lód, skały i lawiny Sentinelle Rouge zostały daleko poza nami.

Wawrzyniec Żuławski

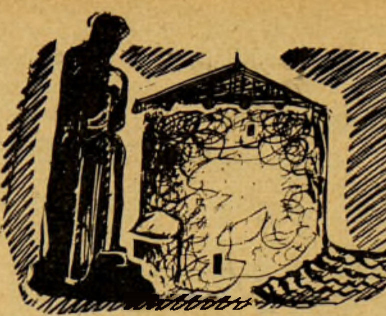


Na prawo: Lodowo-śnieżne zerwy wschodniej ściany Mont Blanc (widok z pod Sentinelle Rouge) fot. W. Żuławski
U dołu: Widok na wschodnią ścianę Mont Blanc, fot. S. Groński

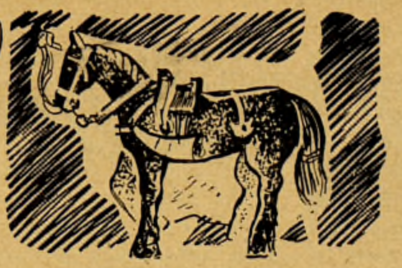




Baszta fortyfikacyjna, zwana „Katowską"



STARY BIECZ



(Dokończenie).

Gotyk wycisnął swoje ślady wszędzie: na architekturze kościelnej, do której niewzruszonych ram dostosowały się późniejsze dekoracyjne uzupełnienia; na wystroju wnętrza, który, jakkolwiek zachowany we fragmentach, różnorodnością tych fragmentów świadczy o tym, że odznaczał się niegdyś nie tylko pięknem, ale i wyjątkową pełnią: nawet drobne szczegóły urządzenia przetworzone są bowiem w duchu gotyckiej dekoracji.

Na tym zasadniczym szkielecie narastwiały się twory późniejszych epok, częściowo rugując dawne, słabiej zachowane zabytki. Przede wszystkim pierwotne ołtarze, ta najżywotniejsza, a więc najsilniej ulegająca wpływom mody część kościelnego wystroju, zostały zastąpione dziełami Renesansu i Baroku. Dawne ołtarze, malowidła i rzeźby cechowe, rozmieszczone są samotnie w kościele lub złożone w nieładzie na strychu: niektóre z nich to pierwszorzędne utwory polskiej sztuki XV wieku.

Dziś szczególnie okazale przedstawia się wielki ołtarz, z k. XVI wieku, zdala już mieniący się połyskiem barw, złota i malowniczym bogactwem kształtów. Kolosalna jego struktura zajmuje całą szerokość i wysokość absydy, dostosowując się do jej ostrołukowego zamknięcia — trójkątną nadbudową szczytu. W proporcjach przypomina on nieco fasadę kościoła: szerokie założenie dolnej kondygnacji z wyrazistym akcentem środkowym, wysmuklone w górę szczytem. Dzięki temu uzależnieniu zarysów od architektury kościelnej, ołtarz wkomponowuje się dobrze we wnętrze, a w zamglonej perspektywie od głównego wejścia tworzy wspaniały akcent kolorystyczny.

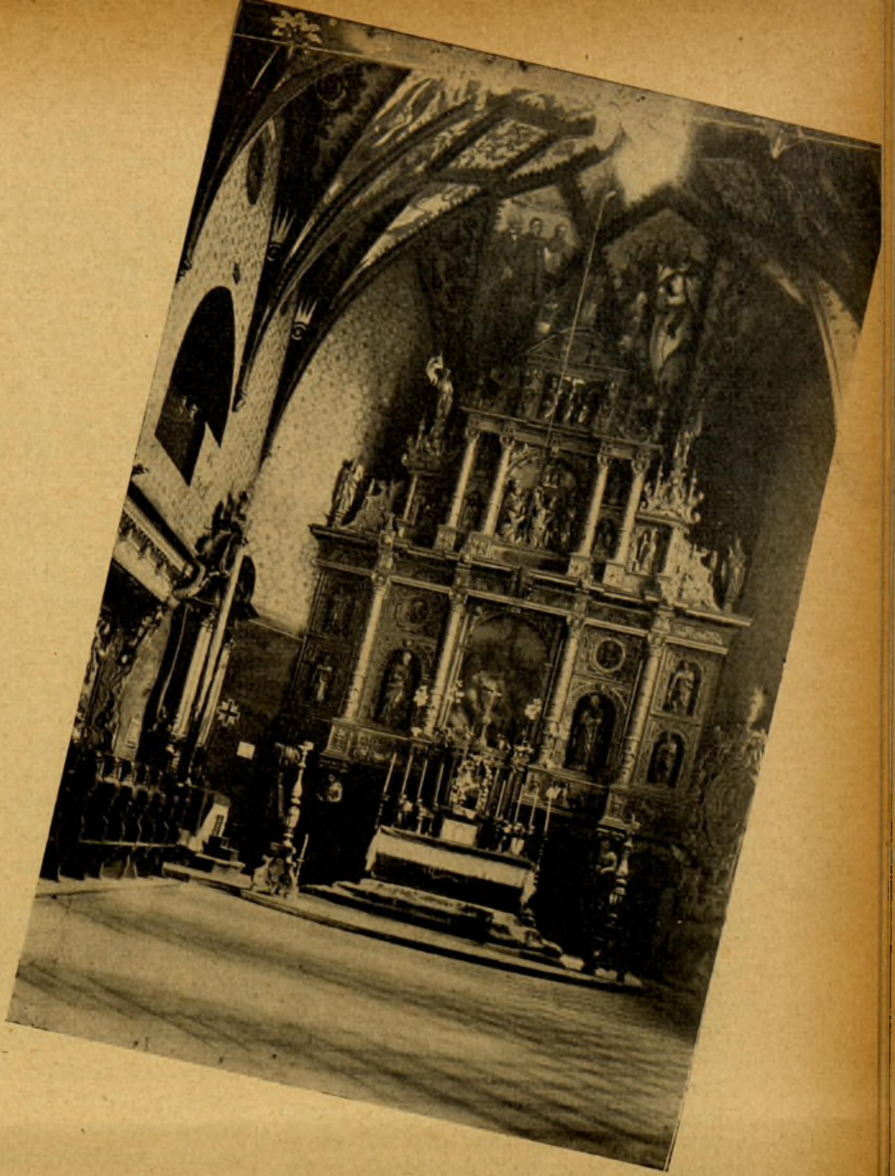
Ołtarz, wedle upodobania renesansowego, oparty jest na motywach architektonicznych. To jakby wspaniała fasada, pocięta poziomo kresami gzymsów, pionowo trzonami pilastrów, grająca światłocieniem głębokich nisz, ożywiona koronką płaskorzeźb i różnorodnością posągów. System pionowo-poziomego podziału nie zawiera jednak cech schematyzmu. Gzymsy załamują się wielokrotnie, wysuwając i cofając podpierające je pilastry. Linie ich drgają i wibrują. To już życie Baroku, rozsadzające klasyczne formy Renesansu. Nadmiar dekoracji zalewa prawie strukturę, zapełniając każdą wolną przestrzeń. Jednak zasadniczy architektoniczny szkielet pozostaje jasny i wyrazisty, posągi, spokojne w ruchach, mieszczą się doskonale w wyznaczonych im niszami granicach — nie ma tu jeszcze barokowego tłoczenia i wyłamywania z porządku, szczegóły nie posiadają jeszcze własnego życia, działanie ich uzależnione jest ściśle od całości, w którą są wtopione. Jest tylko swoboda i rozrzutność północnego renesansu, jego zamiłowanie do bogactwa kształtów i barw, które, w połączeniu z pewną ciężkością proporcji, stwarza dzieła tętniące mocnym, zmysłowym życiem.

W ten świat północy przedostał się dziwny kontrast w postaci obrazu ołtarzowego, przedstawiającego „Zdjęcie z krzyża". Jest to dzieło szkoły włoskiej z kręgu twórczości Michała Anioła, wzorowane kompozycyjnie na jego niedokończonej Pieta w katedrze florenckiej. Okres czasowy ten sam — odrębność formy uderzająca. Pomijając całą skalę obiektywnej miary wartości, pomijając różnice formy snycerskiej i malarskiej — (gdy w ołtarzu występuje tendencja do drobnej, fragmentarycznej rwanej dekoracji, panującej na całością nie monumentalizmem poszczególnych motywów, lecz raczej ich liczbą,—w obrazie widzimy śmiały rzut bogato, nieledwie fantastycznie rozwiniętej jednej linii, wyznaczającej główny bieg kompozycji. To już nie gubienie się w rozdrabnianiu i ożywianiu suchych form renesansu, lecz wprowadzenia w dzieło sztuki nowej zasady, będącej punktem wyjścia nadchodzącego stylu: zasady podporządkowania całości — jednemu motywowi.

Wielki ołtarz stanowi najcenniejszy zabytek Renesansu w Bieczu, a zarazem należy do znakomitych w Polsce okazów tego rodzaju.

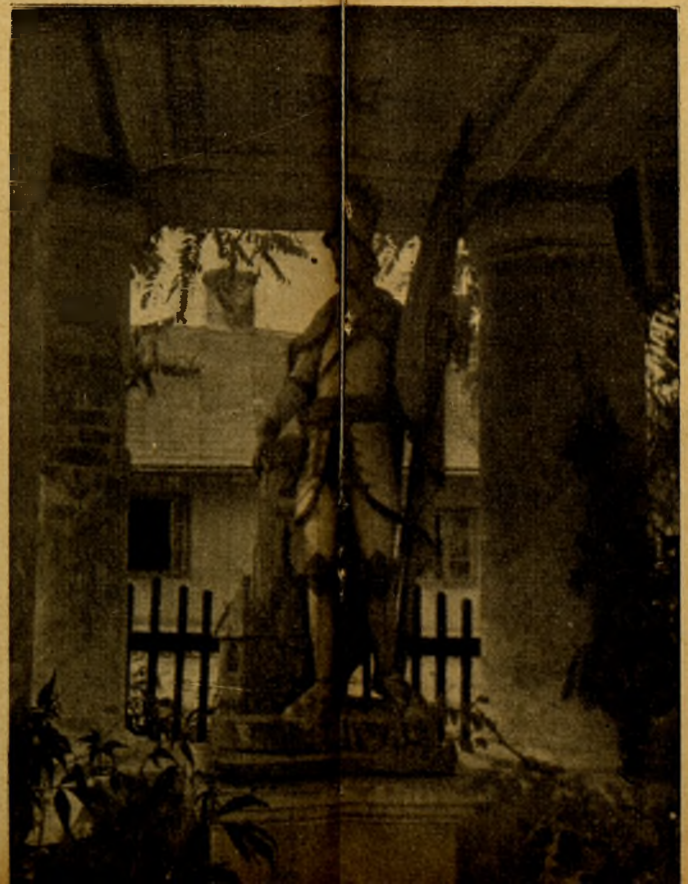
Wnętrze kościoła zawiera jeszcze wiele okazów tego stylu, przede wszystkim epitafia i nagrobki, na ogół dosyć cenne lecz pozbawione istotnej oryginalności.

Zabytkami Baroku są przede wszystkim liczne rzeźbione ołtarze. Nie dorównują one jednak wartością zabytkom starszym, jakkolwiek odznaczają się niekiedy ciekawszymi rozwiązaniami formalnymi, świadcząc tym o długotrwałej żywotności poczucia artystycznego wśród Bieczan.



Ołtarz Główny (Zdj. ze zbiorów Centr. Biura Inwent. Zabyt. Sztuki)

Wszystkie zdjęcia ze zbiorów inż. E. Norwetha



Posąg św. Floriana przy studni miejskiej

Kościół biecki to prawdziwe muzeum, skupiające w sobie kwintesencje trzech epok z podstawową dominentą gotyku. Jest on jakby stylowym symbolem miasta. W gotyckich ramach planu rozmieszcza się Biecz renesansowy i barokowy. Oczywiście bezpośrednie zespolenie architektury miejskiej z właściwym nurtem życia przeciwdziała w znacznym stopniu takiemu równoległemu nawarstwieniu epok, jak w murach kościelnych. Kościół — to tradycja, miasto — to życie. To też poza szczątkami zamku i basztą fortyfikacyjną, tzw. dziś „Katowską", najstarszą architekturę świecką Biecza reprezentują domy renesansowe.

Bardzo charakterystycznym zabytkiem Biecza, już zdala rzucającym się w oczy w panoramie miasta, jest kolosalna wieża, pozostałość dawnego ratusza, wzniesiona z cegły, częściowo obłożonej kamieniem. Wysokość jej wynosi 50 m., średnia grubość muru — 3 m. Wspaniały zabytek XVI wieku, nawiązujący do średniowiecznej tradycji potężnych murów. Kolos ten dominuje nad maleńkim miastem, jak widomy znak utraconych aspiracji i zahamowanego rozpędu.

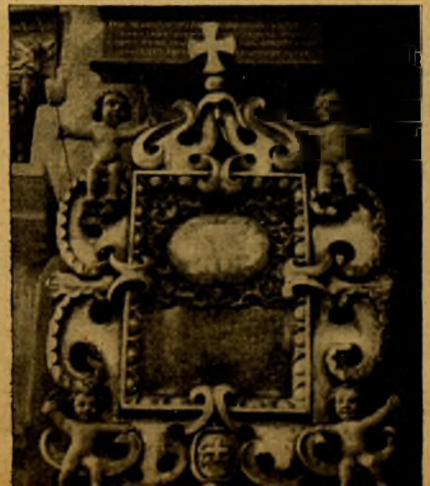
Tyle o Bieczu. Artykuł ten nie może oczywiście służyć za przewodnik po mieście, jest pisany pod zupełnie innym kątem widzenia. Pragnie on dać przykład interpretacji wewnętrznego życia zabytku, zresztą w najogólniejszych rysach. Biecz jest tematem szczególnie pouczającym, gdyż w dość ograniczonych ramach daje szereg różnorodnych i klasycznych przykładów. Pozwala prześledzić zależność sztuki od życia; pozwala zestawić i określić wzajemny stosunek pomiędzy zabytkiem zbiorowym, a jednostkowym; i wreszcie daje nieledwie wyczerpujące lekcję styloznastwa.

Tematów do podobnych rozważań istnieje nieskończona ilość. Szczególnie Małopolska roi się od zabytkowych miast i miasteczek, które dziś mają coś do powiedzenia już tylko człowiekowi wrażliwemu na mowę przeszłości. A żadna książka nie mówi o przeszłości tak urzekająco pięknie, jak zatarte karty pisanej zabytkami kroniki...

Ł.



Gotycki portal w prezbiterium



Epitafium renesansowe



Ludzie PIĘKNI duchem

EDWARD ABRAMOWSKI

„Naród, w którym uczucia przyjaźni są rozwinięte, gdzie zamiast egoizmu panuje przyrodzona potrzeba wzajemnej pomocy, bezinteresownego wspomagania się na wszystkich polach życia — naród taki znalazł już moc niezwyciężoną, rozwiązał zagadkę wolności i dobrobytu".

E. Abramowski

Jedną z najpiękniejszych postaci naszych myślicieli ostatnich lat przedniepodległościowych stanowi Edward Abramowski. Urodził się on 17 sierpnia 1868 r. w Stefaninie koło Kijowa. Pochodził z rodziny głęboko patriotycznej. Krewni jego brali udział w powstaniu 63 roku. Z atmosfery domu rodzinnego wyniósł Abramowski głębokie ukochanie ojczyzny i równie głębokie poszanowanie człowieka. Stąd wywodzi się jego udział w walce o niepodległość i w walce o najgłębsze prawa ludzkie.

Nauki pobierał Abramowski w Warszawie. Między innymi jedną z jego nauczycielek była Maria Konopnicka i jej głęboki idealizm oddziałał niewątpliwie na duchowego twórcę polskiej spółdzielczości. Na studia uniwersyteckie wyjeżdża Abramowski do Krakowa i Genewy. Studiuje przyrodę i filozofię. Jednocześnie bierze żywy udział w pracach społecznych, uczestnicząc w ruchu socjalistycznym zagranicą. Po powrocie do kraju w roku 1889 angażuje się niezmiernie śmiało w prace, dążące do skonsolidowania rozbitych grupek w Polską Partię Socjalistyczną. Jednocześnie bierze udział w ruchu zetowym (Związku Młodzieży Polskiej). Wprowadzenie do programu P.P.S. postulatu niepodległości Polski było w znacznej mierze zasługą Abramowskiego.

Wcześnie rozpoczyna Abramowski pracę pisarską, publikując jako czternastoletni chłopiec kilka artykułów w piśmie ludowym Zorza. Już w tych artykułach ujawnia się duży talent pisarski, oraz charakterystyczne dla światopoglądu Abramowskiego pierwiastki uczuciowego stosunku do spraw ludzkich.

Jednym z najcięższych ciosów była dla niego śmierć żony w 1892 roku. Niedomagania nerwowe, stałe wstręty policyjne zmuszają go w końcu do udania się zagranicę. Wyjeżdża do Szwajcarii, gdzie pisze szereg broszur socjalistycznych. Bierze udział w zjeździe organizacyjnym P.P.S. w Paryżu w listopadzie 1892 r., gdzie właśnie zagadnienie niepodległości Polski zostaje oficjalnie włączone do programu partii.

Jednocześnie pogłębia swoje studia naukowe, interesując się specjalnie psychologią i pisze szereg zasadniczych dla siebie prac. „Etyka a rewolucja", „Dusza i ciało", „Zagadnienia socjalizmu", „Socjalizm a państwo", „Teoria jednostek psychicznych", „Pierwiastki indywidualne w socjologii".

Po powrocie do kraju tworzy pozapartyjne „Koła Etyków", których podstawą istnienia było twierdzenie, że o wyniku walki niepodległościowej stanowić będzie poziom moralny bojowników.

Okres 1907—1918 rok jest okresem największego rozkwitu działalności i twórczości Abramowskiego. W roku 1907 wydaje najbardziej cenne dzieło: „Ideje społeczne kooperatyzmu", w którym kładzie duchowe podwaliny pod ruch spółdzielczy w Polsce. Jednocześnie czynnie propaguje spółdzielczość, biorąc udział w pracach Związku Spółdzielni Spożywców, oraz pisząc w organie spółdzielczym: „Społem". Drugim jego dziełem z zakresu społecznego znaczenia spółdzielczości jest wydana w 1912 roku broszura: „Kooperatywa, jako sprawa wyzwolenia ludu pracującego".

Poza ruchem spółdzielczym rozprzestrzenia Abramowski swoje ideały moralne, tworząc związki przyjaźni, mające na celu zwalczanie społecznego egoizmu i na jego miejsce stawianie ideałów współdziałania ludzkiego. Jednocześnie w wydatny sposób pracuje naukowo. Jego zabiegami powstaje Instytut Psychologiczny w Warszawie, wśród niezwykle trudnych warunków, związanych zarówno z ogólną sytuacją jak i z czynnikami finansowymi. W czasie wojny zostaje powołany na katedrę psychologii w Warszawie. Wykłady jego noszą w sobie niezmiernie świeże i trzeźwe, a jednocześnie głęboko idealistyczne widzenie spraw ludzkich. Rozwija przed słuchaczami szereg nowych naukowych ujęć, a nawet stare teorie odzyskują w jego ujęciu swą młodość. Wydaje w zakresie swych prac psychologicznych trzytomowe studia nad pamięcią: „Obraz i rozpoznawanie, Złudzenia pamięci", „Podświadomość" i wreszcie „Podświadomość i reakcje organiczne". W roku 1914 wychodzi jeszcze drukiem studium: „Źródła podświadomości i jej przejawy".

Wytężona, ogromna praca podrywa wkońcu zdrowie pisarza. Gruźlica, wada serca, rozedma płuc zamiast pohamować jego wysiłki wpływa jeszcze bardziej podniecająco. Abramowskiemu żal każdej zmarnowanej sekundy. Pod koniec życia przeżywa radosne dreszcze nadziei odzyskania niepodległości. Wpośród swej pracy naukowej ma zawsze jeszcze czas na pisanie ulotek, odezw, programów dla P.O.W. (Polskiej Organizacji Wojskowej).

Niestety, nie doczekał się Abramowski oczekiwanej, wytęsknionej przez pokolenia chwili, umiera tuż przed uzyskaniem niepodległości — 21 czerwca 1918 roku.

Bardzo trudno zamknąć jest w kilku słowach duchowy profil Abramowskiego. Zbyt dużo posiadał zainteresowań, zbyt wiele dziedzin poruszał swymi pracami, aby można Go było ująć w klamrę kilku słów. A jednak jest pewien wspólny we wszystkich jego pracach moment, który jest bodaj jednocześnie najgłębszym, najmocniejszym założeniem pięknej osobowości pisarza. Momentem tym jest moment m o r a l n y. Abramowski k o c h a człowieka i pragnie życie tak urządzić, tak zreformować, aby wyplenić nienawiść i zło, a na ich miejsce postawić dobro. Żyje w nim nieśmiertelna tęsknota ludzkości do w s p ó l n e g o szczęścia, tęsknota, najsilniej przeżywana przez ludzi pięknych duchem... Abramowski nie jest jednak utopistą, przy całej tę-

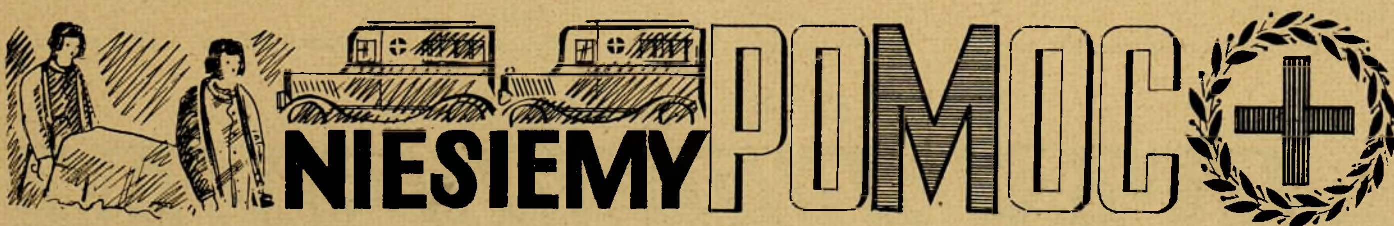
słnocie do piękniejszego społecznie życia, rozumie rzeczywistość i umie dostosować do niej swoją działalność. Działalność ta więc idzie torem tworzenia form społecznych, które by ideał współżycia wypełniały, z drugiej zaś strony wpływają na urabianie się charakterów ludzkich. Stąd praca nad założeniem podwalin pod polski ruch spółdzielczy i wyszukiwanie w życiu momentów psujących współżycie, aby je wypłenić. Widzi je Abramowski w egoiźmie. Spodziewa się, że spółdzielczość temu zapobiegnie. „W kooperatywach poznajemy praktyczne dobro wspólności, dobro pomocy wzajemnej, w nich żyjąc przekonywamy się na własnym doświadczeniu, jak zgubnym jest dla człowieka samolubstwo i jak wielką dźwignią dobrobytu i szczęścia jest wspólność". Już w r. 1912 porusza Abramowski sprawę obcego kapitału: „Drugą ważną sprawą, którą kooperatyzm rozstrzyga, jest to oswobodzenie się od kapitałów obcych i przemysłu obcego, a specjalnie oswobodzenie od zależności ekonomicznej w jakiej jesteśmy w stosunku do żywiołów napływowych, obcych narodowi polskiemu i idących wyraźnie przeciw niemu".

Poszukując mocy, która by życie uczyniła lepszym i szlachetniejszym, która by była prawdziwym orężem w zwalczaniu zła, znajduje ją Abramowski w przyjaźni. „Jakie spustoszenie w życiu i w ludziach sprawia zanik przyjaźni, to możemy zobaczyć wszędzie naokoło siebie, patrząc na nędzę, wyzysk, ciemnotę i krzywdy, do których tak przyzwyczailiśmy się, że prawie nie zwracamy na nie uwagi. I może zbyt często zapominamy także, że z tych małych bied ludzkich, które spotykamy na każdym kroku, tworzy się ta wielka rzecz, którą odczuwamy jako upadek i poniżenie ojczyzny i że z tych małych krzywd, które sobie nawzajem wyrządzamy, powstaje owa wielka krzywda całości — bezsilność narodu".

Pod tym właśnie kątem praktykowania przyjaźni radby Abramowski całe życie ludzkie przemienić i dlatego bardzo ostro występuje przeciwko życiu obecnemu. „Egoizm jest ludziom szczepiony w ciągu całego życia, począwszy od dzieciństwa, szczepiony przez wychowanie i przez warunki społeczne; przez ciężką walkę o byt, przez panowanie pieniądza. Jest to ogromna szkoła i hodowla egoizmu, w której kształcą się wszyscy, a pod te wpływy dostają się nie tylko egoiści z urodzenia, ale i przeciwne im typy... I rzuca tutaj Abramowski myśl ciekawą, nad którą warto chwilkę podumać. „Podobnie jak warunki społeczne dzisiejsze stwarzają atmosferę moralną taką, w której człowiek żyjąc uczy się egoizmu, oszukania i krzywdzenia, często nawet bezwiednie, — podobnie muszą powstać instytucje, rodzaj wielkiego zakonu ludzi dobrej woli, który by dał społeczeństwu nową, odradzającą atmosferę przyjaźni i w niej wychowywał ludzi od dziecka, walcząc z tamtą."

Wacław Józefski

Łódź



NIESIEMY POMOC

(Wspomnienie z praktyki sanitarnej hufca licealnego przy II-im żeńskim Gimnazjum i Liceum Miejskim im. Jana Kochanowskiego w Warszawie).

Pierwszym uczuciem, jakie wywołała wiadomość o dyżurach w szpitalu, była ciekawość. Z tą właśnie ciekawością i zadowoleniem dziecka, które po raz pierwszy wypełzło na czworakach na próg pokoju, weszłyśmy na salę szpitaną. Jeszcze nic nowego nie widzimy; taki sam wielki, jasny pokój, rzędy łóżek, takie same siostry, jakie widywałyśmy, odwiedzając chorych znajomych.

Lekarz przedstawia nas jednej z dyżurujących zakonnic i odchodzi, przy pożegnaniu życząc powodzenia w pracy. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że przecież przyszłyśmy tu po to, aby naprawdę pracować.

- Jesteśmy odrobinę zakłopotane. Siostra po chwili, już zdecydowanie, rozdziela nas do różnych sal, każda z nas znajduje opiekę w dyżurnej zakonnicy.



Zaczyna się zwykle od słania łóżek, jest to pierwsze zetknięcie się z chorym.

Od tej chwili wyraz — „chory" powtarza się wciąż.

„Proszę uważać, chory po ciężkiej żołądkowej operacji". Z wysiłkiem unosimy bladego, wychudzonego mężczyznę, który stara się wytłumaczyć, że wcale nie jest z nim tak źle, jak mówi pielęgniarka.

Gdy rząd łóżek jest już zasłany, trzeba mierzyć temperaturę, badać puls. Teraz mniejszą uwagę zwracamy na chorych, zabardzo obawiamy się pomyłki przy sprawdzaniu regularności pulsu. Potem jest jakaś chwila wolna, zabawiamy małą dziewczynkę — dziewięcioletnie, roześmiane, jasnowłose dziecko. Lekarz przechodząc, zawiadamia nas, że zobaczymy wyłuskanie nowotworu z nogi, tymczasem mamy zejść do sali opatrunkowej. Schodzimy. Jest tu głośniej w porównaniu z sypialnianą ciszą, nawet hałaśliwie. Lekarz szybko wydaje głośne polecenia.

Po chwili przywożą na wózku dziesięcioletniego chłopaka.

Ten mały chłopiec jest przeraźliwie chudy. Długie piszczele kończyn

z porozdymanymi stawami, stopy powykręcane okropnym skurczem. Lekarz szybko oczyszcza nogę benzyną. Butelka, którą trzymam w ręku, nie wiem dlaczego, drży. Może boję się rozlać, nie wiem.

Chłopiec przygląda się czynnościom pana doktora z bolesną rezygnacją w wielkich czarnych oczach. Opatrunek gotowy. Lekarz ruchem ręki wskazuje części zniszczone przez gruźlicę. Dyktuje studentowi łacińskie zdania, w których wciąż powtarza się to jedno nieubłagane „tb" (tuberculosa). Po chwili chory, ściskając w palcach kartkę z tym wyrokiem lekarskim, wyjeżdża na wózku do pracowni rentgenowskiej. Lekarz jeszcze raz stwierdza wypadek nieuleczalny. Posługacz wesołym głosem, tak obmierzłym w tym momencie, mówi o metodach „leczenia", stosowanych przez wiejskich znachorów. Ten jego ton jest dla nas wstrętny.

Idziemy na górę; chirurg i asystenci przygotowują się do operacji. Na stole leży uśpiona dziewczynka, którą rano zabawiałyśmy.

Stoimy teraz pochylone nad wąskim stołem operacyjnym. Jest tu zupełnie cicho mimo obecności kilku osób. Biali ludzie krzątają się sprawnie. Obserwacja ich precyzyjnie celowych ruchów pochłania całkowicie moją myśl. Chirurg lekkim pociągnięciem noża przecina głęboką rysą tę małą, chudą nożynę dziecka. Srebrne błyszczące szczypce, ściskają tryskające krwią naczynia. Jaka ta krew jest czerwona wspaniale, nigdy nie wiedziałam, że jest aż tak czerwona. Przez chwilę staram się wmówić w siebie, że stoję przy operacji kogoś bliskiego, najbliższego. Robi się jedynie trochę goręcej, ale czuję, że spokój zachowałabym ten sam. Odwracam głowę, wskazówka zegara niestrudzenie zatacza okręg sekund. Brzęczą narzędzia, lekarz cichym, stanowczym głosem kieruje pracą. Wciąż zmieniają się szczypce. Znowu podziwiam te nieomylne, giętkie, wprawne ruchy rąk. Nóż chirurga wyłuskuje krwawą masę nowotworu. Głowa dziewczynki wstrząsnęła się we śnie, wycieram ślinę cieknącą po jej policzku. Lekarz zakrzywioną igłą kłuje ciało nogi. Po paru ruchach rana zaszyta, opatrunek nałożony. Wskazówka zegarowa obraca się jednostajnie, równo. Koniec. Lekarz odrzuca rękawiczki. Posługacz przewozi chorą do sypialni.

Mała leży niespokojnie, jakby miała zły sen. Staram się przytrzymywać jej głowę, podkładam ligninę. Po długich minutach otwiera oczy. Wiem, że mnie jeszcze nie widzi. Te oczy są niebieskoszare, mętne, niewidzące. Stoję nad łóżkiem i doznaję przedziwnego wrażenia. Wydaje mi się, że jestem jakby poważniejsza, starsza. Mała znów odchyla powieki, uśmiecham się do niej. Po jej bledziutkiej, umęczonej twarzyczce błądzi przez moment zalękły promyk uśmiechu. Nachylam się i cichym szeptem proszę, aby leżała spokojnie. Chora ledwo dosłyszalnie wymawia dwa słowa, napewno bezwiednie, ale dla mnie najdroższe: „pani kochana" — i zasypia znowu.

Jej rozpalona główka leży na mojej ręce. Jest mi dziwnie inaczej niż zwykle. To już nie ciekawość, to zupełnie co innego, to zobaczenie i poznanie wielkiego, bolesnego cierpienia. Jest cicho, cichutko, oddech chorej wolno uspakaja się.

Jolanta Richter (Warszawa)

DYSKUTUJEMY

PRAWDZIWA PRZYJAŹŃ I PRAWDZIWY PRZYJACIEL

W odpowiedzi na artykuł kol. R. Pomirowskiego „Jakiego chciałbym mieć przyjaciela", posypały się liczne wypowiedzi tak uczniów, jak i uczennic, z których zamieszczamy tu najcharakterystyczniejsze wyjątki. Jednocześnie prosimy jeszcze nasze P. T. Czytelniczki i Czytelników, by mając coś do powiedzenia w tej sprawie nie zachowywali tego przy sobie, lecz podzielili się z tym z innymi P.T. Czytelniczkami i Czytelnikami.

Red.

„Nie masz teraz prawdziwej przyjaźni na świecie" — zaczyna swą wypowiedź słowami mickiewiczowskimi kol. **Róża Fryda Nowotarska** i dalej pisze — do przyjaźni trzeba dorość — trzeba wiele rzeczy znać, zrozumieć. Trzeba przede wszystkim znać dobrze siebie samego, a „najpóźniej dojrzewa owoc na drzewie samopoznania", dlatego i przyjaźń musimy cofnąć do rzeczy — późniejszych. Przyjaźń to rzecz bardzo trudna, ale bezsprzecznie piękna i dobra. Bo czy może być coś piękniejszego od wzajemnego podania sobie dłoni w serdecznym uścisku, od wzajemnego zrozumienia się? — Ale — powtarzam — do tego trzeba dorość — bo w szkole raczej zetkniemy się z koleżeństwem, które będzie może nosiło pozory przyjaźni. Dlaczego? — Bo młodzież jest zmienna, a przy bardzo silnym życiu uczuciowym, przy depresjach, przerzucaniu się z nastroju w nastrój, nie ma mowy o przyjaźni. — Żarliwa dyskusja, różnica poglądów i młody umysł — O! to rzecz niebezpieczna! dajemy się ponieść impulsowi — i —koniec! — finis! „Nie ma teraz prawdziwej... itd. —

Po tym wybitnie pesymistycznym wniosku kol. Nowotarska analizuje przyjaźń u dziewcząt. — Nie wiem jak to jest u chłopców, ale u dziewcząt „przyjaźń" to czasem tylko chwilowa sympatia — ale nie „bezgraniczne zaufanie"; tajemnice powierzone na ucho, które potem dziwnym sposobem (pamiętaj! tylko nie powtórz nikomu!) stają się „publiczną własnością". A potem sprzeczka, różnice zdań i — amen — koniec —. ...Obserwujcie tak, jak ja obserwowałam w ciągu całego mojego pobytu w szkole, a przyznacie mi rację...

Z innej zupełnie strony to samo zagadnienie rozpatruje kol. **Zofia Trapszo (lic. handl., Warszawa).** — Przyjaźń jako taka — wypowiada autorka swoje poglądy — ma rację bytu, gdyż dobrze zrozumiana, t.zn. „szczęśliwa", jest momentem pięknym w życiu ludzkim. Istnieje jednak warunek, o którym nie można zapominać: przyjaciel nie może mieć decydującego wpływu na nasz sposób myślenia, czyny i życie. Bowiem poglądy nasze — pisze dalej kol. Z. Trapszo — są bardzo płynne, możliwe, że już w stadium krystalizacji, ale w każdym razie musimy przyznać z ręką na sercu, że ciągle mamy innych bogów. Przy takim straszliwym chaosie myśli i pojęć — czytamy dalej — nie wolno pozostawać pod

czyimś wpływem (myślę oczywiście o b. silnym wpływie)... W zupełnej samotności musimy przemyśleć wszystko, znaleźć ciężar gatunkowy zła i dobra, odpowiedzieć sobie na wszystkie pytania, nauczyć się szukać mądrości u kwiatów i pszczół, zimnych, bladych gwiazd, źdźbeł zbóż, ptaków i mrówek. Musimy nauczyć się przyjmować głębię tęskno-ty bezkresnych pól, dróg wiejskich, wiodących nie wiadomo dokąd, starych krzyży — kapliczek przydrożnych, nauczyć się pojmować wymowę ciemnych, wiecznie szumiących lasów.

Musimy się uczyć patrzeć, obserwować życie nie biorąc w nim samemu żadnego udziału... musimy być zimni, obojętni, milczący świadkowie radości i smutków ludzkich. Wtedy może potrafimy odnaleźć prawdę jedyną, której osiągnięcie jest celem życia każdego człowieka.

Wniosek więc z tego jest taki, że przyjaźń jest dopuszczalna i nawet pożądana, ale pod jednym warunkiem: przyjaciel nie może mieć zbyt wielkiego wpływu na nasze poczynania, gdyż inaczej może to poważnie przeszkodzić w pracy nad sobą i kształceniu własnego „ja".

Kol. **A. Sokalski (lic. hum., Zdołbunów)** stojąc na gruncie niezbędności przyjaźni, w poglądach swych wyraźnie przeciwstawia się kol. Pomirowskiemu. — Przyjaciel powinien odznaczać się wielkimi walorami duchowymi, nie może być naszym przeciwieństwem, kontrastem. Dobrze, gdyby się ograniczyło w tym wypadku tylko do dyskusji. Niestety, na tym tle dochodzi często do kłótni, sprzeczki, rozstania. Przyjaciel — pisze kol. Sokalski — musi być naszym duplikatem.

Nasze chęci będą jego chęciami, nasze upodobania jego upodobaniami. Tylko w tym wypadku dojdziemy do porozumienia.

— Czytając artykuł kol. Pomirowskiego — pisze nam znów **z Krosna kol. Tadeusz Gonet** — dochodzę do wniosku, że moje poglądy na to zagadnienie nie wiele się różnią. Chciałbym tylko przeprowadzić pewne rozgraniczenie, które może pozwolić na wszechstronniejsze poznanie problemu.

Przyjaźń, jako zjawisko indywidualne i społeczne — wywodzi dalej swą myśl kol. Gonet — odgrywa poważną rolę, zapełniając okropną lukę, często powstającą w życiu: poczucie nicości i gorzką nudę. Poczucie własnej małości i niedoskonałości, lub zniechęcenie do innych ludzi wywołują bardzo często cierpienia, a co gorsza apatię duchową. W życiu tworzy się nagle przepaść — bliska droga do rozpaczy... Istotny sens przyjaźni leży właśnie w potęgowaniu ochoty życiowej, w przezwyciężaniu pesymizmu. Mój przyjaciel musiałby o tym doskonale wiedzieć i nie tylko wiedzieć, lecz umieć „czuć".... Pogląd przyjaciela na życie, to pogląd optymistyczny, oparty na dobrej znajomości psychologii i filozofii. Wtedy nasza przyjaźń byłaby wielka i świadoma.

W ŚLĄSKIEJ HUCIE

Jeszcze w jesieni ub. r. korzystając z niezwykle uprzejmości Pana Prezesa inż. Kowalskiego Bronisława, zwiedziłam Hutę „Piłsudski" i kopalnię węgla „Siemianowice", należące do „Wspólnoty Interesów Górniczo - Hutniczych S. A." w Katowicach. Wrażeniem dzielę się z koleżankami i kolegami.

Otworzono dolny zawór i przez otwór wytoczył się z ogromnego pieca złoto - czerwony strumień. Buchnął gorącem w twarze hutników i siejąc bez przerwy wokoło siebie miliony drobnych gwiazdeczek świecących w powietrzu niby ognie sztuczne na choince, płynął wąskim korytem do kadzi.

Żelazo! zwykłe żelaza, leżące tam na dworze w drobnych ułamkach rudy, jakież było w tym strumieniu wspaniałe i groźne!

A wielki piec Martin'owski huczał i dudnił jakby się śmiał do nas swym potężnym basem.

*

Skrzeczący dzwonek oznajmia ruch dźwigu. Sunie wolno na końcu dźwigu zawieszony olbrzymi magnes. Pochyla się nad stosem żelaznych rupieci. Przyciąga do swej powierzchni trochę szmelcu i poderwany do góry wraca, kierując się ku „drzwiczkom" dużego pieca. Na jego balast czeka już żelazna łopata. Oderwawszy „szmelc", poruszana tajemniczą siłą, zbliża się coraz bardziej do otworu. H u k! Żelazne drzwi podnoszą się... Czerwone światło i piekące wprost powietrze napełniło halę.



Postacie hutników, przepasanych długimi fartuchami, z okryciami na głowach i okularami ochronnymi na oczach, stukających drewnianymi chodakami, odcinają się na tle płomieni.

Łopata wkłada wolno do ogromnego pieca żelazne rupiecie, które tam przemieniają się znów w płynne żelazo.

Dźwig prowadzi znów magnes... Olbrzymie niezaspokojone paszcze żelaznych pieców czekają wciąż na nowy pokarm.

*

Maszyny pracują bez przerwy. Walce walcują cienkie płyty żalazne,

specjalne obrabiarki robią koła i rury. Pręty wypadają z jednego otworu i gonią w blaszanych korytach ułożonych na ziemi, podobne do długich świecących wężów szukających czegoś. Zreczna ręka przerzuca je do innego mniejszego otworu i znów gonią po blaszanym korycie, wypadając z tupetem po drugiej stronie chudsze, ale i dłuższe.

Tysiące pędzących kół i taśm, tysiące ludzkich rąk pracuje tu nad pierwszą obróbką wytopionego żelaza.

*

I w tych olbrzymich halach, pełnych huku i zgrzytu maszyn, oświetlanych żarem wielkich pieców, gdzie z czoła spływa gorący pot, a wysiłek mięśni kuje twardą stal, leży p o t ę g a.

Krystyna Górecka.
Gimn. Kraków



PRZEGLĄD WYDARZEŃ

Hiszpania, na którą patrzy świat.

Wizyta angielskiego premiera Chamberlaina i ministra Halifaxa w Rzymie, która przed kilkunastu dniami była ośrodkiem zainteresowania całej Europy, miała na celu ułożenie i omówienie przyjaznych stosunków między Anglią i Włochami. Wizyta ta nie dała żadnych rezultatów, przyczyną zaś tego stała się Hiszpania. Sprawa Hiszpanii, w której Włochy popierają bez zastrzeżeń gen. Franco, Anglia zaś — jak to poprzednio już pisaliśmy — stara się nie dopuścić do zdecydowanego zwycięstwa żadnej ze stron i jest raczej po stronie „czerwonych", jest głównym punktem spornym między tymi państwami. Włosi, zapraszając ministrów angielskich do siebie, sądzili, że wizyta ta nastąpi już po ostatecznym zwycięstwie ich hiszpańskiego pupila tj. gen. Franco, że wówczas będą mogli postawić swych rozmówców wobec faktu dokonanego, który pozwoliłby im być twardszymi w stawianiu żądań wobec Anglii, niż to miało miejsce w rzeczywistości. W rzeczywistości bowiem w czasie wizyty angielskiej w Rzymie wojska powstańcze znajdowały się o kilkadziesiąt kilometrów od głównego ośrodka oporu „czerwonych" — Barcelony, a trwająca dotychczas ofensywa dopiero się rozpoczynała. Mussolini w tym stanie rzeczy, wobec nienastąpienia spodziewanej likwidacji frontu „czerwonego", nie chciał prowadzić żadnych decydujących rozmów z Anglikami, — wizyta skończyła się fiaskiem.

Dla Włoch jednak, zarówno w ich polityce w stosunku do Anglii jak i do Francji, szybkie zakończenie wojny hiszpańskiej jest kwestią decydującą. Nie bez znaczenia jest tu również fakt, że wojna ta kosztowała Włochy więcej, niż wyprawa abisyńska, każdy zaś dzień następny droższy jest od poprzedniego. To też biorąc te wszystkie momenty pod uwagę, Mussolini postanowił skończyć wreszcie z Barceloną i dał gen. Franco tak silne poparcie, ażeby ten mógł przeprowadzić szybko i zwycięsko wielką ofensywę przeciw „czerwonym". Obecnie **wojska powstańcze stoją pod Baceloną**, z której uciekł rząd, uciekają cudzoziemcy, uciekają wreszcie stali mieszkańcy. Oczy świata zwrócone są w tę stronę. W sytuacji obecnej koniec wojny hiszpańskiej oznaczać bowiem będzie początek decydującej rozgrywki na Zachodzie Europy i jakkolwiek nie można przeceniać grozy sytuacji, trzeba zdać sobie sprawę z tego, że może to być rozgrywka nawet zbrojna. Zbliża się w każdym razie moment, w którym Włochy znajdą się w tak dogodnej sytuacji dla stawiania wobec świata swych żądań imperialnych, w jakiej nigdy dotychczas i prawdopodobnie nieprędko w przyszłości się znajdą. Jednocześnie w podobnej sytuacji znajdują się obecnie Niemcy. Te ostatnie przygotowane są do wojny i wojny pragną, czas natomiast pracuje nie dla nich, lecz dla Anglii, Francji i St. Zjednoczonych, które obecnie niedozbrojone, za lat kilka będą mogły znowu przechylić szalę zbrojeń na swoją stronę. Sądząc z tego układu sił, należy się zatem spodziewać, że państwa tzw. „osi" może wcześniej, niż się tego spodziewamy, postawią sprawę na ostrzu noża. Sprawa ta to przede wszystkim kolonie, ale wraz z nimi—przesądzenie, kto znajdzie się pod, a kto na europejskim wozie: Niemcy i Włochy, czy Francja i Anglia.

W chwili łamania numeru dowiadujemy się o zdobyciu Barcelony przez wojska gen. Franco. Fakt ten niewątpliwie wyjaśni wiele; Włochy poniekąd wygrają swoją stawkę).

Dojrzewający owoc.

Kluczem do rozwiązania sprawy żydowskiej jest emigracja, a właściwie znalezienie terenów dla żydowskiej kolonizacji. Podstawą jej jest uznanie sprawy żydowskiej nie za polską, niemiecką czy inną, lecz za zagadnienie światowe, w likwidowaniu którego wszystkie państwa, jak również światowe żydowstwa, muszą wziąć czynny udział. Jest to stanowisko, uznawane w całym społeczeństwie polskim za słuszne i jedyne. Różnice zresztą bardzo duże, odnoszą się raczej do metod załatwienia sprawy żydowskiej wewnątrz państwa, co jest etapem przejściowym i przygotowawczym, nie zaś celem samym w sobie. W każdym jednak razie stwierdzić trzeba, że z takich czy innych przyczyn, zarówno dzięki wpływom wewnętrznym jak i zewnętrznym, zagadnienie żydowskie w Polsce weszło w fazę pełnego dojrzewania. Coraz głośniej mówi się o przygotowaniach, jakie czynione są przez Rząd, a zmierzających do planowego, nie jak dotychczas — na własną rękę przez różne nieodpowiedzialne grupki podejmowanego, rozwiązania sprawy żydowskiej, co oznaczać ma przede wszystkim organizację wysiłków w celu umożliwienia szerszej emigracji żydowskiej. Pogłoski te znalazły zresztą potwierdzenie z ust czynnika najbardziej miarodajnego, a mianowicie premiera Sławoj - Składkowskiego, który odpowiadając w Sejmie na interpelację poselską w sprawie poczynań Rządu odnośnie rozwiązania sprawy żydowskiej, odpowiedział, że Rząd doceniając wagę tej sprawy, czyni wszystko, ażeby likwidację jej możliwie przyśpieszyć, jest jednak zdania, że sprowadza się ona przede wszystkim do znalezienia odpowiednich

terenów emigracyjnych, oraz zapewnienia współpracy żydowstwa światowego.

Sprawa terenów dla emigracji żydowskiej nabrała obecnie szczególnego rozgłosu na całym świecie. Projektów było już chyba kilkadziesiąt, w tym kilka poważnie rozpatrywanych. Mają one jednak jedną charakterystyczną cechę: o ile państwa zainteresowane (Polska, Niemcy, Rumunia itd.) słusznie żądają od imperiów kolonialnych oddania ich części dla osadnictwa żydowskiego, o tyle mocarstwa kolonialne, pięknie deklamując o konieczności rozwiązania zagadnienia żydowskiego, starają się wmówić jedno drugiemu, że to tamto właśnie a nie to państwo posiada w swych koloniach tereny najodpowiedniejsze dla osadnictwa. Oczywiście wysiłki tego rodzaju są bezowocne. Wydaje się natomiast, że jedynym gruntem, na którym sprawa emigracji żydowskiej będzie mogła stanąć twardo i pewnie, jest nowy podział kolonii, zmiana ich granic, dokonana przez wszystkie zainteresowane państwa, a więc i przez Polskę. **St. Leo.**



Jeńcy...



Zebranie republikanów w Barcelonie

WIELKA ARTYSTKA

Tak wiele już było recenzji i artykułów poświęconych Zofii Jaroszewskiej, dobrych i złych, ciekawych i banalnych, iż obawiam się, że nie potrafię powiedzieć Wam nic nowego.

Przedewszystkim wyrazić muszę w imieniu moich koleżanek i kolegów ubolewanie, że ilość sztuk, w których występuje ta świetna tragiczka, a które pokazywane są nam — młodzieży, jest zredukowana do minimum.

Nie widzimy jej prawie nigdy.

Tylko niektórzy z nas (kieszenie uczniowskie są takie puste...) mogą pozwolić sobie na kupienie drogich biletów na przedstawienie wieczorne. Najczęściej wyzbywamy się mniej potrzebnych książek. Na stos ofiarny idą ze zgrzytaniem zębów podręczniki francuskie czy łacińskie, gorzkie łzy wylewamy, rozstając się z ukochanymi poetami.

Ale trudno — Ją — musimy zobaczyć!

Zasadniczo — nie lubimy komedii, chcemy otrzymać coś więcej, niż tylko możność wyśmiania się. Przychodząc do teatru zapomnieć o szarej, codziennej pustce. Chcemy wierzyć, że to co widzimy, to nie zwyczajna fabuła ubrana w barwne szatki.

My — żądamy, aby oglądana sztuka łudziła nas pozorami rzeczywistości. A to właśnie daje nam Zofia Jaroszewska. Obecnie w teatrze Słowackiego wystawiają 'Balladynę", którą mamy dostać na przedstawienie szkolne.

To najwspanialsza sztuka, jaką oprócz „Cezara Kaliguli" i „Judasza z Kariotu" kiedykolwiek widziałam. Cudowna wystawa i doskonała obsada.

W otoczeniu takich artystów jak: Pawłowska, Nowakowski i wielu innych jaśnieje i oszałamia olśniewający talent Jaroszewskiej. Ona nie g r a tamtej, ogarniętej żądzą władzy i krwi straszliwie niszczącej kobiety, j e s t nią! Jest nią tak prawdziwie i naturalnie, że patrząc na jej ból — razem z nią cierpieć musimy, jej strach i nas ogarnia, jej ponura tajemnica jest naszą tragedią.

Przyszło mi na myśl w tej chwili powiedzenie doskonałego psychologa i pisarza Oskara Vilde'a, że winowajca zasługuje w swej męce na najwyższą miłość.

Jaroszewska przeżywa swą rolę każdym nerwem. Jeden grymas jej twarzy jedno spojrzenie, czy gest — są tak wymowne, że starczyć mogą za dziesiątki słów.

Postać Balladyny, stworzona przez nią, jest okropnie niesympatyczna, niesamowicie wprost zła i demoniczna. I przez to właśnie jest doskonała.

Wspomnieć należy jeszcze o dziwnym, głębokim głosie wielkiej artystki. Ten niski, ponury głos przebiega widzowi po nerwach gamami drgających zgrzytów, to znów aksamitnych dotknięć. Ma w sobie coś tak przeogromnie tragicznego, że nie można mu się oprzeć.

Pamiętam, — że siedziałam na „Balladynie" z zapiekłym gardłem i walącym sercem.

I gdyby mię ktoś zapytał, co sądzę o Zofii Jaroszewskiej — powiedziałabym mu:

To jedna z największych artystek polskich dzisiejszej doby!

Maria Kiernikówna

X gimn. żeńskie w Krakowie.

FILM

Dwaj Rywale — w roli gł. Myrna Loy i Clark Gable, wytw. Metro - Goldwyn Mayer.

Brawura — w roli gł. Myrna Loy, Clark Gable, Spencer Tracy, wytw. Metro Goldwyn Mayer.

„Brawura" i **„Dwaj rywale"** mają wiele podobieństwa, jeśli idzie o główne założenie filmu. Przede wszystkim ci sami aktorzy w rolach głównych, poza tym podobna, choć rozwijająca się nieco innym łożyskiem, treść. I tu i tam rywalizują ze sobą dwa koncerny. W „Brawurze"— lotniczy, w „Dwuch Rywalach" — filmowy.

W pierwszym—współzawodniczą czy to w pracy czy też w wielkich zawodach oblatywacze samolotów, w drugim—przedstawiciele firmy, która wysłała swych operatorów na Daleki Wschód, by wśród terkotu karabinów maszynowych szukali sensacji dla znudzonych i żądnych wrażeń Jankesów.

O ile „Brawura" nie wychodzi poza obręb filmów „niezłych", o tyle „Dwaj rywale" jest naprawdę filmem amerykańskim w najlepszym tego słowa znaczeniu, posiadającym fenomenalne tempo, pierwszorzędne plenery, szczególnie te egzotyczne z Gujany Holenderskiej, pełne dowcipu dialogi, no i doskonałą grę aktorów. Sceny, gdy Clark Gable, jako operator filmowy na froncie chińsko - japońskim w pogoni za żądaną przez „szefa" sensacją, filmuje miast prawdziwej bitwy, której nie może się doczekać — nalot nieprzyjacielskich samolotów — zabawek, na zmontowane na poczekaniu dekoracje chińskiej wioski — jest doprawdy bajecznym majstersztykiem i perełką humoru. Perypetie ekspedycji ratunkowej, która dostaje się do wioski dzikiego plemienia „Czcicieli ognia" w Gujanie holenderskiej — są pomimo tragicznej na oko sytuacji — potraktowane z taką brawurą a równocześnie, niefrasobliwym humorem, że widz, który przed chwilą patrzył z przerażeniem na rytualny taniec czarnych dzikusów dokoła „białej ofiary"—wybucha niepohamowanym śmiechem, gdy bohaterzy za pomocą dodatku „Foxa" wyświetlonego na ścianę egzotycznej chałupy — budzą postrach i poważanie dla swych „czarodziejskich" sposobów.

O artystach tej miary, co wyżej wymienieni, trudno coś nowego pisać. Są przecież tak rozreklamowani, tak znani ze swej doskonałej gry i sympatycznych twarzy. Parę jednak słów należy się Myrnie Loy, nie jako artystce (bo jak wyżej wspomniałam ma już swą artystyczną markę), lecz raczej jako typowi kobiet, które przedstawia w obu filmach. W „Brawurze" to żona lotnika, która nie jest w stanie znieść ciągłego niepokoju, zatruwającego każdą chwilę, gdy mąż wyczynia karkołomne sztuki na nowych typach maszyn bojowych. Do tego stopnia nie potrafiła się opanować, znaleźć jakiegoś zajęcia konkretnego, ani dostosować do wymagań, jakie jej narzuca sytuacja życiowa, że rzuca swego męża, by móc odzyskać utraconą równowagę i spokój.

Myrna Loy z filmu „Dwaj Rywale" to lotniczka, która wraz ze swymi kolegami naraża się na niebezpieczeństwa, wyczyniając nieprawdopodobne sztuczki na samolocie przy filmowaniu aktualności—to kobieta która nie waha się wyruszyć samotnie w puszcze Ameryk. Południowej w pogoni za zaginionym bratem, to przyjaciółka, która w ciężkiej chwili służy wsparciem wyczerpanemu do ostatecznych granic mężczyznie. Dlaczego podkreślam tak starannie obie role tej artystki? Jeśli przyjrzymy się losom obu bohaterek — to stwierdzimy, że pierwsza z nich nieprzygotowana psychicznie, nieodporna nerwowo — nie wytrzymała ciężkiej próby życiowej i przegrała nie tylko miłość ukochanego mężczyzny, ale i spokój ogniska domowego. Zaś dzielna reporterka, która potrafiła dorównać krokiem swemu koledze, być mu pomocą i podporą, znalazła swą rację bytu w jego życiu jako żona i przyjaciółka. A teraz „moralna nauka" wypływająca z obu filmów. Czy to w Ameryce, czy też w starej Europie nie ma miejsca dla specyficznego typu człowieka, coś pomiędzy mimozą a pokrzywą, zwanego „kobieciątkiem". Kobieta, która nie chce narazić się na utratę spokoju i szczęścia rodzinnego, musi umieć dotrzymać kroku mężczyźnie jako towarzyszka, nie tylko w zaciszu domowym, lecz także na polu pracy i wspólnych zainteresowań.

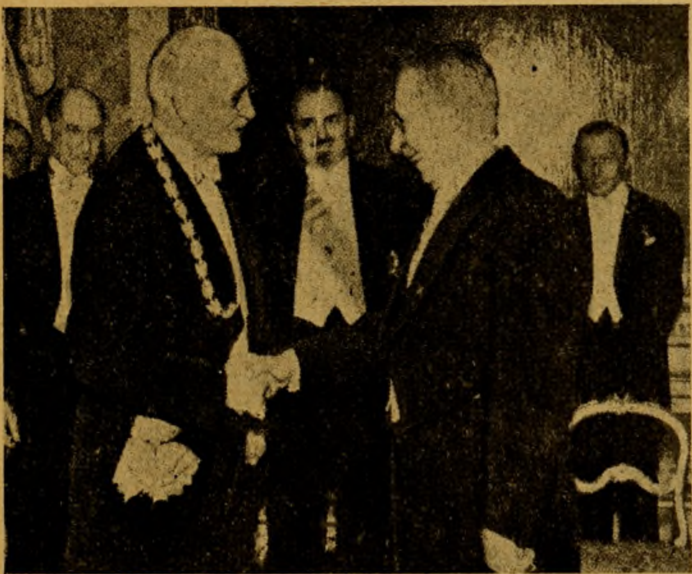
Ewa Runge



Clark Gable i Myrna Loy w filmie „Dwaj rywale"

UROCZYSTY JUBILEUSZ

W dniu 19 stycznia b. r. Polska nauki i wiedzy obchodziła jubileusz 30-lecia pracy naukowej Ministra W. R. i O. P., prof. dra Wojciecha Świętosławskiego.



Karierę naukową p. Minister rozpoczął przed 30 laty wydanym dziełem p. t. „Termochemiczna analiza związków organicznych, szereg alifatyczny". Prace swe kontynuował i dzieła pomnażał jako profesor Politechniki Warszawskiej. Jak sam w swym przemówieniu podczas uroczystości zaznaczył, Jego praca naukowa miała charakter zespołowy. Wyniki swych badań niestrudzony profesor ustalał wprawdzie zdala od zgiełku, w pracowni, ale nie sam, a ze swoimi najbliższymi uczniami, których w ten sposób przygotowywał do przyszłej samodzielnej pracy.

Prócz miłości wiedzy, prof. Świętosławskiego cechuje głęboka miłość dla narodu.

„Kochamy Cię nie tylko za to — mówił P. Prezydent do Jubilata — że tak świetnie reprezentujesz naukę polską, lecz również za to, że żywisz dla narodu tak potężne uczucia, które skłoniły Cię do odstąpienia od Twego najukochańszego warsztatu pracy i do poświęcenia się w służbie państwowej".

Dzień jubileuszu, nad którym protektorat przyjął P. Prezydent, obchodzono w sposób szczególnie uroczysty na Zamku Królewskim.

My młodzież szkolna, tą drogą dajemy wyraz uczuć, które w dani składamy Wielce Czcigodnemu Jubilatowi.

WIZYTA MIN. VON RIBBENTROPA W POLSCE

W dniu 25 stycznia b.r. przybył do Warszawy minister spraw zagranicznych Rzeszy, Joachim von Ribbentrop. Wizyta ta zbiegła się z datą piątej rocznicy układu polsko - niemieckiego (26.I.1934), zawartego na lat 10, i jest pierwszą z oficjalnych wizyt min. spraw zagr. Rzeszy.

W czasie dwudniowego pobytu niemiecki minister złożył wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza, odbył audiencję u Pana Prezydenta przez którego był podejmowany śniadaniem, uczestniczył w raucie, wydanym na jego cześć przez ministra spraw zagranicznych Polski Józefa Becka. W drugim dniu pobytu ambasada niemiecka gościła ministra w swych murach, podejmując go obiadem.



Rewizyta von Ribbentropa jest jednym z elementów utrzymania dobrych stosunków z sąsiadami, co mi in. jest podstawą polityki zagranicznej min. Becka.

POLSKA PRASA MŁODZIEŻOWA NA WYSTAWIE W PARYŻU

Na pierwszej Międzynarodowej Wystawie Prasy Młodych p.n. „Revue des Journaux", która otwarta została w Paryżu w grudniu ub.r. polska prasa młodzieżowa była bogato reprezentowana.

Dział polski Wystawy zorganizowany został przez Stowarzyszenie Polskich Publicystów Młodzieżowych w porozumieniu z PAZZM „Liga". Dział ten obejmował wszystko co pisze się u nas dla młodych, a zwłaszcza przez nich samych, — i obok najobszerniejszego działu młodej prasy francuskiej — wyróżniał się w nader pięknej formie pełny obraz polskiego dorobku na terenie publicystyki młodzieżowej.

Zaznaczyć należy, iż w wystawie wzięła również udział redakcja **„Młody Nurt"** — pisma młodzieży szkolnej — wysyłając ciekawsze numery pisma — które budziły duże zainteresowanie wśród zwiedzających.

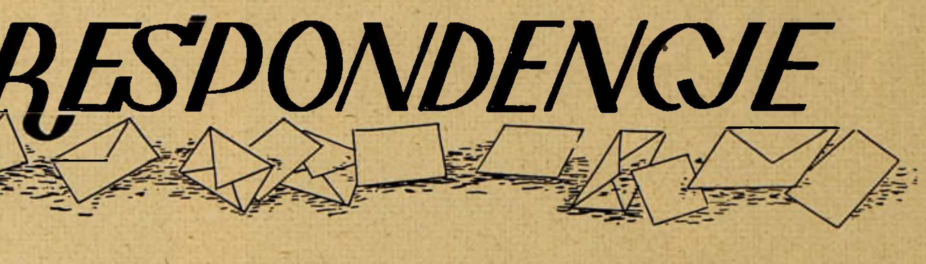


ŁÓDŹ

(Gimn. Piłsudskiego).

Smutno zaczęło gimnazjum nasze drugie półrocze pracy szkolnej. Na drugi dzień po rozpoczęciu tego półrocza, dn. 11.I.39 r. zmarł w gmachu szkolnym nagle, na atak serca śp. Kazimierz Koszyk, profesor łaciny. Zmarły był dyrektorem pryw. gimn. żeńsk. im. Orzeszkowej, gimn. wieczorowego dla dorosłych, profesorem kilku łódzkich gimnazjów, ostatnio profesorem gimnazjum miejskiego im. Piłsudskiego w Łodzi. Ponadto był kilkakrotnym prezesem zarządu okręgowego Tow. Naucz. Szk. Śr. i Wyższ., a ostatnio prezesem Koła Łódzkiego tego Towarzystwa. Przeżył lat 54, w tym ponad 30 lat pracy nauczycielskiej. W pogrzebie, który odbył się uroczyście dn. 13.I na starym cmentarzu katol.w Łodzi — wzięły udział delegacje niemal wszystkich gimnazjów łódzkich. Ostatnią drogę odbył zmarły na barkach uczniów gimn. im. Piłsudskiego.

S. Jaśkiewicz



WOLSZTYN

(Gimn. i Liceum im. Marsz. J. Piłsudskiego)

Dnia 15.I odbył się opłatek I druż. Harc. im. Romualda Traugutta. Uroczystość ta nabrała specjalnego wyrazu, oprócz bowiem corocznego opłatka obchodzono dwudziestolecie istnienia drużyny, najstarszej w tej części województwa. Uroczystość zgromadziła wielką liczbę gości i kolegów. Po odśpiewaniu kilku kolęd przemówił opiekun i kapelan Harcerzy ks. pref. Walczak. W słowach swych nawiązał do wilii z przed dwudziestu laty, gdy to na gruzach państw zaborczych powstała Niepodległa Polska. Od tego czasu wiele się zmieniło. Nastąpił rozwój harcerstwa, które zapoczątkowało odrodzenie dusz. Piękne swe przemówienie ks. pref. zakończył życzeniem i wskazówką dla harcerzy: „realizujcie nadal Waszą wypróbowaną ideologię, a mocarstwowość nasza nigdy nie stanie się wyświechtaną frazesami".

Z kolei nastąpił raport, przemówienie dh. Zielińskiego i przyrzeczenie harcerek i harcerzy.

Następnie zabrał głos p. dyr. Dutkowski wskazując na to, że harcerstwo kształci młodzież i wyrabia charaktery, czego dowodem jest obrona Lwowa, Warszawy itd. Przemówienie swe p. dyr. zakończył słowami: „życzę Wam, u progu nowego dwudziestolecia byście pracowali nadal, tak, jak dotąd w celu przygotowania się do służby dla Ojczyzny."

Po tym przemówieniu nastąpiły występy harcerek i harcerzy, obficie nagradzane oklaskami przez gości. Na zakończenie odbyła się zabawa taneczna. Bawiono się w miłym nastroju do godz. 22.

J. K. Lipiński

ŁOWICZ

(Państwowe Liceum Pedagogiczne Nr 2).

Liceum nasze istnieje dopiero drugi rok. Przejęliśmy w swe ręce wraz ze sztandarem dawnego Seminarium nauczycielskiego, które się mieściło w poklasztornych murach obecnie zajmowanych przez nas, jego chwalebne tradycje. Niesiemy przed sobą wysoko „oświaty kaganiec". Rozświetlamy nim mroki umysłów tych, którzy pragną w i e d z i e ć !

Dajemy więc lekcje w miejscowym więzieniu, ucząc tych, którzy źle czynili, a mają obecnie szczere chęci poprawy z dawnej drogi zła, po której kroczyli, i chcą być dobrymi obywatelami. Uczymy także żołnierzy stacjonowanego tutaj p. p., którzy stali się powtórnymi analfabetami, lub też wcale nie umieli pisać i czytać.

Bierzemy udział we wszelkich akademiach i uroczystościach, które odbywają się na terenie miasta. Nasz szkolny chór, soliści: śpiewacy i muzycy, deklamatorzy, czy też mówcy są ciągle proszeni o udział w tej czy innej uroczystości, akademii czy obchodzie, i nie było dotychczas takiego wypadku, aby ktoś odszedł z odmową. Idziemy z pomocą i pracujemy wszędzie z zapałem i chętnie.

Prócz takiego życia zewnętrznego mamy swoje własne: wewnętrzne.

Co dwa tygodnie urządzamy zajęcia świetlicowe, na które składają się występy solistów, deklamacje, referaty i dyskusje nad interesującymi nas zagadnieniami czy problemami itd.

Prócz tego pracujemy w różnych organizacjach.

Tak więc część prowadzi trzy drużyny harcerskie, część działa w zespole Straży Przedniej, inni zajmują się pracą w kółkach: krajoznawczym, historycznym i matematycznym.

Na terenie Liceum istnieje także Bratnia Pomoc, Sodalicja, Szkolne Koło Sportowe „Olimpia" i Szkolna Kasa Oszczędności. Wszystkie te organizacje i koła przejawiają bardzo ożywioną działalność, a praca ich wydaje stosunkowo wysokie, jak na nasze warunki, wyniki.

Dowodem tego, że pracujemy ofiarnie, są liczne słowa podzięki i uznania, jakie słyszymy z ust osób, które mają możność stykać się z nami na naszych terenach pracy i działalności. To dodaje nam otuchy i pokrzepienia do dalszych wysiłków.

Tadeusz R. Boniecki

ŁUNINIEC

(Gimnazjum im. króla Wł. Jagiełły).

„Bratnia pomoc", która pracuje na terenie naszego gimnazjum i liceum, nie poprzestając na należytym i sprawnym wykonywaniu swych prac i zadań w szkole, zajmuje się pracą dla innych. Jako przykład może posłużyć fakt ofiarowania okolicznym włościanom 80 drzewek owocowych. Drzewka te otrzymały przede wszystkim gospodarstwa przykładne. Fundusze na kupno drzewek uzyskano z loterii, oraz część otrzymano z Dyrekcji. Czyn ten mający na celu krzewienie kultury rolnej, znalazł wielkie zrozumienie u włościan. W szkole natomiast, „Bratniak" prowadzi dwa sklepy (spółdzielnia) oraz kupuje podręczniki szkolne dla uczniów, za których koszta nauki ponoszą Zarządy Gminne. Ci też otrzymują codziennie drugie śniadanie.

Obok „Bratniaka" rozwija się i usilnie pracuje drużyna harcerska, która w ubiegłym miesiącu obchodziła 20-tą rocznicę swego istnienia. Zwrócić uwagę należy na kółko literackie, do którego należą klasy licealne, oraz na orkiestrę, która obecnie szykuje się do wielkiego występu.

Wiktor Milewski

WILNO

(Państwowa Szkoła Techniczna im. Marsz. J. Piłsudskiego).

Nasze życie szkolne płynie szybkim nurtem naprzód, roboty mamy w brud, a czasu mało. Wiadomo, jesteśmy już „ludźmi przemysłu". Jesteśmy ludźmi pracy i jak powiedział nasz „reks" od chemii p. inż. Trzeciak: „Technik — to budowniczy, technik zawsze tworzy, nigdy nie niszczy, ani słowem, ani czynem". W przyśpieszonym tempie pracują organizacje istniejące na terenie naszej szkoły, a więc: Bratnia Pomoc, Koło Spółdzielców, Koło Muzyczne, Koło Sportowe „Wektor", Sodalicja Mariańska, 12-ta Drużyna Harcerska, Koło L.M.K. i koła poszczególnych wydziałów jak: Koło Mechaników, Koło Elektryków, Koło Mierników, Koło Drogowców. Szczególnie ożywioną działalność prowadzi Bratnia Pomoc i Spółdzielnia Uczniowska, udzielając niezamożnym kolegom pomocy w opłatach szkolnych, materiałach piśmiennych lub składając ofiary na Pomoc Zimową czy inne cele dobroczynne. Największe może wzięcie ma nasza „Świetlica" z biblioteką, gdzie na wielkich przerwach i po lekcjach gromadzą się liczni zwolennicy warcab, szach czy gazet. „Świetlica" prenumeruje kilka gazet codziennych oraz tygodników czy miesięczników fachowych. W „Świetlicy" znajduje się odbiornik radiowy oraz adapter.

Kółko Historyczno - Literackie założone przed 2-ma laty urządza akademie i odczyty z dziedziny literatury, historii i życia społecznego, na których poruszamy sprawy interesujące już nie tylko technika, lecz jednostkę społeczeństwa w ogóle; inne koła urządzają zabawy taneczne. Na ogładę towarzyską mamy mało czasu; zdobywamy ją więc drogą samokształceniową.

Rzeczą większej uwagi są nasze warsztaty szkolne z działami: mechanicznym, kuźnią, ciesielnią, stolarnią i laboratoria: elektryczne i metaloznawcze.

Tak, na defiladach idziemy zawsze pierwsi jako ciało liczne, bo składające się z dwuch kompanii z bronią i jednej bez broni. Ze sportem u nas również w porządku; dowodnie przekonają Was o tym drodzy Koleżanki i Koledzy dyplomy z pierwszymi miejsca, wywieszone na ścianach piętra i 3-ci rok utrzymania pierwszego miejsca z zawodów międzyszkolnych m. Wilna.

Gdy już mowa o wojsku lub czymś pokrewnym z nim, to nie od rzeczy będzie wspomnieć o postanowieniu kupna dla armii c.k.m., zaproponowanego w pamiętnym dniu 18 marca 1938 roku, kiedy to przed Pałacem Reprezentacyjnym w oczekiwaniu Pana Marszałka Śmigłego - Rydza krzyczeliśmy: „P.S.Te — Wodza chce!" Przekazanie karabinu prawdopodobnie odbędzie się w dniu 19 marca b.r.

To tyle... szczegóły później.

W. Chilimon

„KOMINEK" JUNACKI W TORUNIU

Zakończenie kursu skoszarowanego dla uzupełnienia II. stopnia PW w pułku „Dzieci toruńskich".



Drużyna podczas obiadu



Czyszczenie broni

Podczas wakacyj gwiazdkowych rojno i gwarno było w toruńskim pułku piechoty, przebywali tam bowiem junacy z hufców szkolnych z terenu Kuratorium Okręgu Szkolnego Pomorskiego i Poznańskiego. Tych kilka dni, przepędzonych w murach pułku, przeżyli oni niby we śnie. Przez krótki czas, junacy zżyli się ze swymi przełożonymi, jak i z instruktorami. Chcąc więc godnie uczcić ich pracę, junacy urządzili na zakończenie kursu tzw. kominek junacki, na którym obecni byli dowódca OK p. gen Karaszewicz - Tokarzewski, ppłk. dypl. Winiarski, ppłk Zgłobicki, p. prez. m. Bydgoszczy Barciszewski oraz delegaci Kuratorium i władz komunalnych.

Przy szczelnie wypełnionej sali, st. junak Mierzejewski (P. Lic. Hum. — Toruń) powitał gości, po czym chór Państw. Liceum Pedagogicznego z Grudziądza odśpiewał dwie pieśni. Następnym punktem programu był obrazek sceniczny w opracowaniu kierownika szkoły powszechnej w Lubiczu p. Poczały, pt. „Polska wczoraj, dziś i jutro" w wykonaniu uczniów i uczennic tejże szkoły. Niemilknące brawa i oklaski świadczyły o pięknie wykonanej inscenizacji. Z innych punktów programu należy wymienić inscenizację piosenki „Rozkwitały pęki białych róż" w wyk. st. junaków Mossakowskiego i Świderskiego (obaj z Państw. Lic. Mechanicznego — Grudziądz). Największym powodzeniem u publiczności i braci żołnierskiej cieszyły się dwa punkty programu, a to: „Radca Stroń w odwiedzinach" w wyk. st. junaka Zaremby Jerzego (Państw. Lic. Hum. — Toruń) oraz kuplety junackie, napisane przez st. junaka Zakrzewskiego w wykonaniu chóru lic. hum. z Torunia pod kierownictwem st. jun. Gałdyńskiego (P. Lic. Hum. — Toruń). Na zakończenie chór Lic. Pedagog. z Grudziądza odśpiewał „Hymn Młodzieży".

Całością akademii kierował p. ppor. rez. Golik Władysław, profesor z lic. hum. w Wąbrzeźnie.

Po wyczerpaniu programu, wszedł na scenę p. gen. Karaszewicz - Tokarzewski, który wygłosił do junaków przeszło półgodzinne przemówienie, wskazując im cele, do osiągnięcia których powinni wytrwale dążyć oraz omawiając znaczenie silnej woli i hartu ducha.

Jerzy Wojciechowski
Państw. Lic. Handl., Toruń

KOLEŻANKO! KOLEGO!

Zrzeszeni koło „Młodego Nurtu” stanowicie kadrę młodzieży, która nie chce obojętnie patrzeć na rzeczywistość, uzależnioną tylko od losu i przypadku.

Zwartym szeregiem dążycie do przetworzenia warunków bytu całej młodzieży.

Z wiarą w cel idziecie tam, gdzie wzywa poczucia miłego względem Polski obowiązku. Przeszkody nie tylko nie łamią Was — ale winny i muszą zachęcić do jeszcze bardziej wydatnej i uporczywej pracy.

Ale na jedno chcę zwrócić Waszą uwagę. Oto byście oglądając się za sobą, nie ujrzeli pustki.

Pomnożyć musicie swe szeregi, nowych zdobyć ludzi, w orbitę swych zainteresowań wciągnąć całą kształcącą się młodzież.

A uczynić to możecie na drodze łatwej, na drodze zdobywania nowych prenumetorów, nowych czytelników i współpracowników „Młodego Nurtu”. Pamiętajcie bowiem, że od ilości prenumeratorów jest uzależniony byt pisma, jego poziom, zasięg i rozrost.

Dzięki Waszej może pracy i przez Wasze wysiłki będziemy mogli w przyszłości przejść z dwutygodnika na tygodnik.

Nie wystarczy więc czytać, samemu tylko współpracować z „M. N.” — trzeba go rozpowszechniać, szerzyć.

Oto— Wasze na dziś zadanie.

Red.

Czytajcie!

Książki o treści popularno - naukowej:

J. Jeans „Niebo” Wyd. Trzaska, Ewert i Michalski „Biblioteka wiedzy”.

Tadeusz Peiper. „Tędy” wyd. „Zwrotnica”.

Książki o treści społecznej:

Mac Cun. „Kształcenie charakteru”. Wyd. Książnica-Atlas. Lwów — Warszawa.

St. Kutrzeba. „Państwa Totalne” Kraków.

Baletrystyka:

Maria Kann. „Jutro będzie słońce” W-wa 1933. wyd. Gebethnera i Wolffa.

Gustaw Morcinek. „Miasteczko nad rzeką” W-wa 1939 wyd. Gebethnera i Wolffa.

Poezje:

Jan Lechoń. „Karmazynowy Poemat”.
Julian Przyboś. „Równanie Serca”.



Kol. M. S. w Słupcy. Za miły list dziękujemy. Do grona współpracowników przyjmujemy Kolegę, nadsyłając jednocześnie numery do kolportażu. Warunki podane są w Nr. 5. Nadsyłanych wierszy drukować nie będziemy; są jeszcze b. słabe. Radzimy dużo czytać. Przesyłamy pozdrowienia.

Kol. Grz. Olszew. Nadesłanego wiersza tymczasem drukować nie będziemy. Prosimy jednak nie zrażać się i nie zapominać o nas.

Kol. B. C. Lwów. Nadesłany wiersz jeszcze bardzo słaby, radzimy dużo czytać i pracować nad formą. Przesyłamy pozdrowienia.

Kol. H. W. Toruń. Z nadesłanego artykułu nie skorzystamy, gdyż była wzmianka w Nr 9. Prosimy o współpracę. Przesyłamy pozdrowienia.

Kol. B. G. Równe. Za miły list dziękujemy. Chętnie przyjmiemy Kolegę do grona współpracowników. Nadsyłajcie korespondencję z terenu gimnazjum. Wysłaliśmy jednocześnie 10 numerów do kolportażu. Warunki w Nr 5. Nadesłanego wiersza drukować nie będziemy. Życzymy powodzenia w pracy.

Kol. J. K. L. — Wolsztyn. Opowiadanie za długie i za bardzo rozwlekłe. Zatrzymujemy, jednak bez pewności drukowania.

Kol. S. A. — Skępe. Za miłe słowa pod adresem pisma dziękujemy. Nadesłany artykuł nieco przydługi, może uda nam się go skrócić i ewentualnie zamieścimy. Prześlemy 10 egz. do kolportażu; warunki w Nr 5. Czekamy na prace z terenu gimn. i zasyłamy pozdrowienie.

Kol J. S. — Brześć n/Bugiem. Nadesłane prace zatrzymujemy do wykorzystania w następnych numerach. Dwa z przesłanych wierszy idą w tym numerze.

Kol. W. Ch. — Wilno. Za miły list dziękujemy. Wysyłamy jednocześnie 10 egz. do kolportażu. Warunki w Nr 5. Część nadesłanego materiału wykorzystaliśmy. Prosimy o dalszą współpracę i przesyłamy pozdrowienia.

Kol. H. K. — Wilno. Nadesłany materiał zatrzymujemy. Być może, że po pewnych poprawkach będziemy go drukować. Treść dobra. Przesyłamy pozdrowienia.

Kol. W. M. Kobryń. Za miły list i życzenia dziękujemy. Korespondencję zamieszczamy w tym numerze, dwa pozostałe artykuły z powodu spóźnienienia są nieaktualne. Jednocześnie nadsyłamy 10 egz. do kolportażu i życzymy powodzenia w pracy.

Kol. J. K. Pruszków. Za życzenie dziękujemy. Odpowiedzieliśmy listownie.

Kol. H. R. — Lublin. Zakwalifikowanie pracy koleżanki do działu turystycznego zostało spowodowane tematem. Sam opis i styl są jaknajbardziej literackie, dlatego nie należy się tym martwić, a wprost przeciwnie. Prosimy o współpracę i zasyłamy pozdrowienie.

Kol. J. K. — Łódź. Przesłaliśmy list, omawiający te sprawy szczegółowo.

Kol. F. P. Chodzież. Szczery list Kolegi bardzo nas ucieszył; mamy nadzieję, że nie zawiedziemy zaufania. Oczekujemy na prace pisane prozą, a tymczasem radzimy dużo czytać i pracować nad formą.

Kol. Z. G. Mława. Przekłady i wiersze jeszcze słabe. Może lepiej uda się proza? Czekamy na korespondencję z terenu.

Kol. R. K. Rudomino. Życzymy powodzenia w zaczętej pracy. Z braku czasu i nadmiernej ilości korespondencji Redaktor nie może na razie pisać listu.



Zbliżający się wielkimi krokami termin narciarskich mistrzostw świata w Zakopanem (11—19 lutego), tej niewątpliwie największej z dotychczasowych imprez sportowych w Polsce, nie zdołał jednak odwrócić uwagi miłośników sportu od szeregu międzynarodowych spotkań sportowych, jakie odbyły się w drugiej połowie stycznia.

Zainteresowanie sportowców polskich ogniskowało się na trzech gałęziach sportu, a mianowicie piłce nożnej, hokeju lodowym i pięściarstwie.

BOKS.

Bokserzy nasi do pokaźnego dorobku dwudziestu trzech wygranych meczów (przy 13 przegranych i 7 nierozstrzygniętych) dodali dwa nowe zwycięstwa, osiągnięte jednocześnie na dwóch frontach, co jest tym bardziej godne uwagi. **Nasza pierwsza reprezentacja gościła w Sztokholmie,** gdzie pokonała silny zespół narodowej ósemki Szwecji w stosunku bardzo wymownym, bo aż 12 : 4, w Warszawie zaś na popularnym ringu Cyrku warszawskiego **nasza reprezentacja zwyciężyła Holandię** w rekordowym stosunku 16 : 0. Oba te sukcesy świadczą, że polski sport pięściarski zajmuje wysoką lokatę na europejskim rynku, gdyż stać nas nie tylko na wystawienie dwóch reprezentacji, ale także na odniesienie jednocześnie wysokocyfrowych zwycięstw.

W Sztokholmie 10 tys. widzów oglądało z zachwytem świetną postawę naszych „asów rękawicy": Rotholca, Czortka, Woźniakiewicza, Kolczyńskiego, Pisarskiego i Szymurę, którzy odnieśli błyskotliwe zwycięstwa. Gorzej powiodło się natomiast Koziołkowi oraz Piłatowi, który musiał uznać przewagę doskonałego zawodnika szwedzkiego, Tandberga. Na ringu warszawskim właściwie żadnych większych emocyj nie przeżywano, przewaga Polski była bowiem zbyt rażąca. Najciekawszym wydarzeniem tego spotkania był świetny debiut 19-letniego Tomczyńskiego w wadze lekkiej. Młody pięściarz warszawski pokonał zdecydowanie bojowego holendra Posta, wykazując piękny styl, przypominający zresztą pod wieloma względami naszego najlepszego w chwili obecnej zawodnika, Kolczyńskiego.



Fragment z mistrzostw hokejowych Polski

HOKEJ.

Niemniejsze emocje przeżywali także hokeiści. Na lodowisku sztucznym w Katowicach, 10-ciotysięczna rzesza zapaleńców hokejowego krążka oglądała nie byle jakich gości, — niedoścignionych wirtuozów spod znaku „klonowego liścia". **Zawodnicy kanadyjscy z klubu „Trail Smoke Eaters"** — co tłumaczy się na polski bardzo egzotycznie: „pożeracze dymu kominowego" — przybywszy do Europy na zbliżające się mistrzostwa świata (Szwajcaria 3 — 12 lutego) i strzeliwszy już w miastach europejskich coś koło stu bramek, zawadzili także na zaproszenie klubu „Dąb" o Polskę, prezentując się znakomicie pod każdym względem. W pierwszym dniu Kanadyjczycy, walcząc właściwie na pół siły, pokonali Dąb w stosunku 10 : 1, w drugim dniu w walce z reprezentacją Polski odnieśli zwycięstwo nieco mniejsze bo 5 : 2. Wynik ten jest bardzo zaszczytny dla polskich zawodników i świadczy, że forma naszej drużyny jest zupełnie zadawalająca. Bardzo to dobry znak przed wysłaniem polskiej reprezentacji na mistrzostwa świata.

PIŁKA NOŻNA.

W niedzielę 22 stycznia wszyscy, których cokolwiek łączy ze sportem, mieli po raz już niewiadomo który okazję do przekonania się, że jednak piłka nożna to najpopularniejszy i najbardziej frapujący ze sportów. Choć mamy teraz sezon zimowy, a tym samym takie sporty jak narty, boks czy hokej powinny bardziej emocjonować niż piłka nożna, to jednak wystarczyło, by Polski Zw. Piłki Nożnej zakontraktował **mecz międzypaństwowy z Francją,** by zelektryzować całą opinię sportową.

Niestety pierwszy występ naszej reprezentacyjnej jedenastki zakończył się przykrą, lecz **zasłużoną porażkę: 0 : 4 (0 : 2).** Porażka ta jest tym dotkliwsza, że była wynikiem stosunkowo stabej gry zespołu polskiego. Najjaśniejszym punktem, a zarazem najlepszym z graczy okazał się bramkarz Krzyk, któremu z drużyny francuskiej był w stanie dorównać prawy łącznik Ben Berek, Marokańczyk. Reszta polskiego zespołu wykazała powolną grę, skutkiem braku treningu, jak również niechęci do osobistego kontaktu z silniejszymi fizycznie przeciwnikami.

Bramki strzelili Veinante — dwie, Hoisserer i Zatelli po jednej.

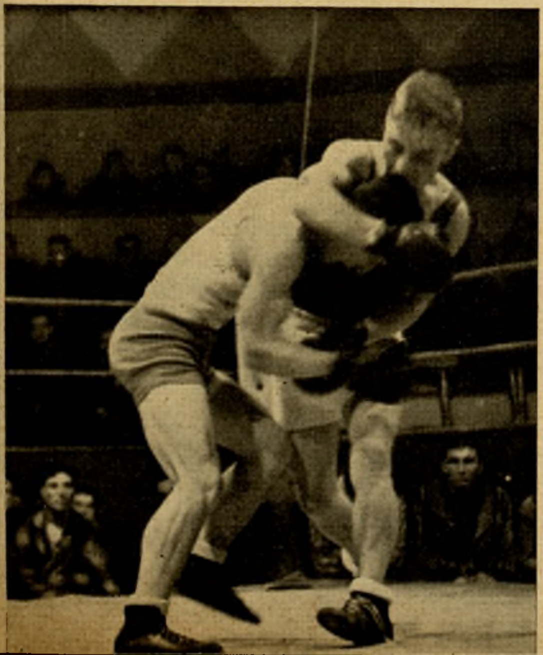
Skład drużyn:

Polska: Krzyk, Szczepaniak, Twórz, Góra, Nytz, Dytko, Wostal, Piontek, Matjas, Wilimowski, Wodarz.

Francja: Llense, Vandooren, Mattler, Jordan, Schmidt, Aston, Ben Berek, Zatelli, Heisserer, Veinante.

Sędziował bez zarzutu p. Jordan (Szwajcaria).

er.



Neuwenberg (Hol.) i Sobkowiak w zwarciu



Fragment z meczu Polska—Francja

FELIETON ŚNIEŻNY...

czyli Spław kajakowy na F. I. S.

Przyszedł taki jeden, co go nazywają popularnie redaktorem i powiedział, że sezon i że słabo z humorem, no to może na ostatniej stronie jakiś felieton zimowy, zamiast osławionych w prasie dowcipów.

Chyba koleżanka wie, o co chodzi — wykleić parę wyciętych z mniej poczytnego literackiego pisma, fragmencików, podmalować na śnieżno białą, wodnistą farbą, okrasić przyprawą z dowcipów prasy codziennej no i jakoś zapełnimy tę ostatnią kolumnę, która jest postrachem redakcji i czarną plamą na honorze dotychczasowych twórców rodzimego dowcipu.

Raźno zabrałam się do klecenia zamówionego dzieła, energicznie wymachując tępymi nożycami.

Jeśli felieton zimowy, — to chyba sportowy. Może więc sportowo - naukowy, np. wpływ wielkich imprez narciarskich na wzrost ocieplenia się w kraju. Może sportowo - techniczny: współczesny narciarz, czyli jak się posługiwać nartami na kółkach; ostatecznie taki sportowo - salonowy: strój narciarza u Trzaski albo w Bristolu...

A czemu tylko narty — tyle mamy jeszcze innych pięknych tematów sportowych — powie jakiś bardziej znarowiony czytelnik, np. piłka nożna.



Pst, nie dotykajmy świeżych ran! raczej pośpieszmy do lokalu Polskiego Związku Piłki Nożnej i w należytym skupieniu złóżmy podpisy w księdze kondolencyjnej...

To boks.

Skąd kobiecie do felietonu bokserskiego.

No to może hokej?

Czy chcecie, abym zatruwała płuca czytelników gryzącym dymem kanadyjskich kominów?

Tak, stanowczo — pozostaję przy nartach, a raczej przy czerwonymi zgłoskami



wybitym na wyrobach M. T., przy wyzierającym pokraczną sylwetką narciarza z każdej wystawy sklepowej, zaprzątającym najtęższe w Państwie umysły, przy bardziej rozpowszechnionym niż epidemia grypy — małym słówku o światowym znaczeniu — FIS!!!

O tragedio dziennikarskiego biurka!

Napróżno szukam, ozdobnych w magiczny napis FIS pergaminowych zwojów, wśród tysiąca wycinków gazetowych i płacht zapisanego papieru!

Może w teczce z działu „Nowoczesna Wieża Babel"? I tam ani słówka o tej największej, najwspanialszej, naj - naj - imprezie... Zato wpada w mą drżącą od gorączki autorskiej rękę następującej treści komunikat:

„Polski Związek Kajakowy na wczorajszym posiedzeniu przyjął całokształt spraw związanych z organizacją Międzynarodowych zawodów w Zakopanem."

Przetarłam oczy, powiodłam dokoła zgaszonym wzrokiem, wreszcie zawisłam bezmyślnym spojrzeniem na oknie... I nagle do mej przytępionej świadomości dotarł rytmiczny chlupot sąszącej się po szybie wody...

„...P. Zw. Kajakowy w zrozumieniu ważności chwili rozesłał do kierowników wszystkich ekip zagranicznych mapę rzek i dorzeczy w obrębie Polski z wytyczeniem ważniejszych szlaków wodnych prowadzących do podnoża Tatr..."

Cóż to za wiadomości z przed pół roku zabłądziły do narciarskiej teczki.

Spojrzałam na datę — 25 stycznia 1939 — przyłożyłam rękę do czoła — chłodne, obejrzałam w lusterku kieszonkowym język — nieobłożony...

„...P. Zw. Kajakowy prosi o regularne informowanie opinii publicznej o licznych inowacjach wprowadzonych przez Związek w program zawodów, a między innymi, prosi o zareklamowanie efektownych skoków na czółnach kanadyjskich. W tym celu rozbieg skoczni na Krokwi zostanie pokryty śliskim linoleum, zaś lądowanie nastąpi w specjalnie wykopanym wgłębieniu na terenie stadionu, które wypełni woda spływająca obficie z okolicznych wzniesień..."

...Oparłam głowę o poplamiony blat biurka i tak trwałam przez chwilę w bezruchu...

„...Do licznych zgłoszeń na zawody dochodzi jeszcze jedno, wraz z którym przybywa nam groźny przeciwnik w postaci ekipy ciemnoskórych mieszkańców z nad mórz południowych. Posiadają sprzęt o specjalnej konstrukcji, mało znanym, lecz nie mniej groźnym przeciwnikiem mogą się stać sensacją Międzynarodowych Zawodów...

...Ale jakich zawodów? narciarskich czy kajakowych???

Czułam, że pomału cierpnę; od stóp aż po czubek głowy biegną tysiące mrówek. Uszczypnęłam się więc energicznie w ramię...

Zabolało...

Otworzyłam szerzej oczy i... obudziłam się!

Ani śladu biurka, złowieszczego komunikatu, deszczu dzwoniącego po szybie, ani w perspektywie redaktora, oczekującego próżno na felieton zimowy. A z okien bije biały odblask autentycznego śniegu...



Będzie, będzie FIS! I będzie też, gdyby naprawdę redaktor chciał, felieton o zimie... ale w przyszłym numerze.

„ŚNIEŻKA"

REDAKTOR: Bolesław T. Łaszewski. WYDAWCA: „Instytut Wydawnictw Współczesnych".

Strona graficzna: Leonard Rutkowski.

Prenumerata roczna (10 miesięcy) — zł. 2,80, kwartalnie — 0,85. Numer pojedyńczy 15 gr. Konto rozrachunkowe nr 362.

Ceny ogłoszeń: 1/1 — 500 zł; 1/2 — 275 zł; 1/4 — 150 zł; 1/8 — 80 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Łazienkowska 3. Codziennie od 10—14, ponadto we wtorki i piątki od 16.30—18.30.

Tel. Redakcji 8-50-08. Tel. Administracji 9-95-62.

Drukarnia »Społeczna«, Warszawa, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80.